



**Jennifer Greene**

**Przymusowe  
lądowanie**

**Specjal Przebój lata**

*Tytuł oryginalny: Summer Dreams*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Upał niemiłosierny, a klient idiota zażyczył sobie spotkanka przy lunchu na świeżym powietrzu! Skąd mu taki szalony pomysł przyszedł do głowy? Lato w Connecticut nigdy nie bywa, delikatnie mówiąc, chłodne. A teraz jest już nie tylko gorąco - jest upalnie w najbardziej wredny sposób. Od tygodnia temperatura nie spada poniżej czterdziestu stopni. Nie ma czym oddychać, człowiek po prostu się dusi...

Jane Whitcomb z pasją szarpnęła za drzwi. Jak było do przewidzenia, hol firmy Bentham, James, Lambrect i Whitcomb powitał ją miłym chłodem, a także miłym, gustownym wystrojem. I co z tego? Nic nie było w stanie poprawić jej humoru, nawet fakt, że niezależnie od morderczego upału, kiedy to człowiek oblewa się potem, udało jej się zawrzeć wyjątkowo korzystną umowę.

Gdy maszerowała przez hol, kilku młodych aplikantów, zgromadzonych koło dystrybutora wody, natychmiast spuszczało głowy i umknęło do swoich pokoi. Jedna z pracownic zatrudnionych na czas określony ukazała się w drzwiach damskiej toalety, ale na widok

Jane natychmiast cofnęła się do środka.

Jane nie po raz pierwszy zauważyła to zjawisko. Początkowo nie łączyła go ze swoją osobą, z czasem jednak dotarło do niej, że to jej osoba wzbudza taki popłoch. Wcale nie czuła się z tym dobrze. Owszem, przez ostatnich kilka miesięcy była w nieustannym galopie, zestresowana i skonana. Na pewno nie najsympatyczniejsza. Ale żeby doszło aż do tego... Przecież traktowali ją jak najzwyczajszą jędzę!

Czyli kiedyś najpopularniejsza w szkole dziewczyna o przezwisku Superlaska, wesoła, pełna energii i pomysłów, do której lgnęli wszyscy, zmieniła się we wredne babsko. Jak to mogło się stać?!

Mogło, nie mogło, trzeba zabierać się do roboty. Przerwa na lunch zaowocowała różowymi karteczkami przy telefonie ułożonymi w zgrabną, półkilometrową ścieżkę. Także stosem teczek - umowy Bakera, Spikasa, Webstera i Baileya. Kalendarz przypominał, że jeszcze dziś po południu ma sprawę sporną. Nie, dwie sprawy sporne. A w związku z sytuacją kryzysową z pewnym klientem wspólnicy domagają się natychmiastowego spotkania. Proponują dziś o czwartej.

Szarpnęła jedną z szuflad i wyjęła kilka tabletek an-

tacydowych, jednocześnie łapiąc za słuchawkę. Kiedy w drzwiach pojawił się jeden ze współników, John - krawat jak zwykle przekrzywiony - machnęła niecierpliwie ręką. A sio! I zabrała się do dzwonienia. Systematycznie, jedna sprawa za drugą.

W połowie szóstej rozmowy zdarzyło się coś dziwnego i głupiego. Po prostu tik. Prawemu oku bez przerwy chciało się mrugać. Nie bolało, żaden powód do niepokoju. Niemniej jednak wkurzające. A poza tym do ostatniej rozmowy potrzebna była pewna informacja z akt Johnsona.

Te akta powinny być na jej biurku. Zaczęła więc ryc wśród papierów i teczek, szybciej niż świstak kopiący sobie norę. Ołówki fruwały, spinacze pokryły blat, karteczki zlatywały na grubą niebieską wykładzinę.

Żadnych akt Johnsona.

Przymrużyła oczy i obszedłszy biurko, przemieściła się do sąsiedniego pokoju. Za biurkiem asystentki, osoby zatrudnionej na czas określony- ta sprawa też ostatnio poszła nie tak- nie siedział nikt.

Co ta kobieta właściwie sobie myśli? Znowu odpoczywać! Miała przecież przerwę na lunch!

Jane przemaszerowała przez hol i energicznie otwo-

rzyła drzwi do toalety.

- Marcia ? Jest pani tutaj ?!

- Tak, pani Whitcomb - odpowiedział przytłumiony głos z jednej z kabin.

- Gdzie położyła pani akta Jonsona?

- Proszę pani... Chwileczkę... Jestem w toalecie...

Zaraz wyjdę, dosłownie za minutę...

Hm... Jane pomaszerowała z powrotem do gabinetu, żeby kontynuować gorączkowe poszukiwania, zastanawiając się w duchu, jak długo jeszcze to nieszczęsne stworzenie będzie, pardon, sikać...

Nagle, ni stąd, ni zowąd, w jej głowie odezwała się jakaś melodia. Dokładniej, piosenka. Tytułu nie pamiętała, słowa tylko wybiórczo. Ale kiedy piosenka już raz zadźwięczała jej w głowie, nie chciała sobie stamtąd pójść.

- Aruba... Jamaica... Key Largo... Montego.

Telefon zadzwonił. Kolejna rozmowa, zaraz potem następna. W tym czasie Jane przeorała wszystkie szuflady i zrewidowała szafę.

Jeszcze raz sprawdziła na biurku. Niestety, jak nie było, tak nie ma.

- No dalej, ładna mamuśko...

Cholera! Musi mieć te akta. Natychmiast, o ile nie na wczoraj. Siedemdziesiąt godzin tygodniowo, taki jest wkład pracy każdego ze współników. Jej norma to osiemdziesiąt do osiemdziesięciu pięciu, czym ich przerażała. Także siebie. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni była na urlopie, i coraz częściej dochodziła do wniosku, że tych piłeczek stanowczo za dużo, jeśli do zonglowania ma się tylko dwie ręce.

- Kokomo...

Dalej ta piosenka i dalej ten tik w oku. Przycisnęła feralną powiekę dłonią, drugą ręką sięgając na najwyższą półkę nad szafą, chociaż zdawała sobie doskonale sprawę, że to bezcelowe. Tych akt na pewno tam nie ma.

Ale przecież nie mogły sobie ot, tak dokądś pójść! Gdzieś tu muszą być, do jasnej...

Oczywiście nie mogła dosięgnąć. Metr pięćdziesiąt pięć, prawdziwe przekleństwo jej życia. Nawet na siedmiocentymetrowych obcasach nie wyglądała imponująco. Ale to nieważne. Była zdecydowana przeszukać każdy centymetr kwadratowy pokoju, bez względu na to, do czego trzeba będzie się posunąć.

Skopała pantofle z nóg, zadarła spódnicę i wgramoliła

się na biurko. Niestety, nie zauważyła, że jej tymczasowa asystentka stoi w drzwiach. Marcia, jedna z tych kobiet, którym zawsze udaje się wyglądać tak bezbrinnie. Myszowate włosy, rzewne spojrzenie szczeniaka. Ciało obłe i miękkie, typowe dla osoby uzależnionej od ciastek. Stała nieruchomo, wyraz twarzy świadczył jednak niezbitcie, że jeszcze chwila moment, a Marcia zacznie dygotać jak w febrze.

- Ja właśnie... - zaczęła Jane i zamilkła. Może z powodu przerażenia w oczach pracownicy, a może dlatego, że uświadomiła sobie dokładnie, co owa pracownica widzi teraz. Szefową na biurku, w pokoju, w którym jest regularny burdel. Wszędzie papiery i teczki. Kubek stoi do góry nogami. W telefonie mrugają jednocześnie cztery światelka. Prywatny faks szefowej wymiotuje strona po stronie, jakby biedak miał bulimię. Sofa, na której siadali klienci, całkowicie zasłana szpargałami.

Od prawników oczekuje się jednak innego rodzaju zachowań.

No cóż... Czasami trudno wszystko przewidzieć. Ona na przykład wcale się nie spodziewała, że jej życie prywatne ułoży się tak a nie inaczej. Także życie zawodowe...

Nagle poczuła, jakby w środku coś w niej się obrwalo.

Powoli zesza z biurka. Jeszcze wolniej opadła na fotel za biurkiem.

- Marcio...
- Tak, pani Whitcomb?
- Muszę wziąć sobie urlop.
- Koniecznie, proszę pani. Wszyscy tak myślą.
- Od trzech lat nie miałam urlopu.

Jak z obrębkim w spódnicy. Jedna nitka puści, cały obrębek odchodzi.

Tak mniej więcej było teraz z nią. Na moment przycisnęła mocno palcami powieki. I wystraszyła się, bo tak naprawdę miała wielką ochotę schować się do ciemnego kąta i popłakać sobie. Dziwne.

- Marcio, proszę zrobić rezerwację na samolot. Do...

Dokądś Pytanie zasadnicze, a ona nie miała jeszcze żadnej koncepcji. Na szczęście akurat tego popołudnia los raptem postanowił być pomocny. W głowie znów rozległa się tamta piosenka.

- Do Kokomo. Będę tam przez osiem dni. Zarezerwuj miejsce w samolocie tam i z powrotem. Aha, i pokój w jakimś hotelu blisko lotniska, na pierwszą i ostatnią



noc. Resztą zajmę się sama.

- Kokomo... - powtórzyła powoli Marcia. - Czy pani jest pewna?

- Całkowicie!

- Ale, pani Withcomb...

- Proszę zająć się tym natychmiast. Zarezerwować miejsce na najbliższy lot, najlepiej już na jutro. A ja dziś się spręzę. Pozamykam sprawy albo przesunę na inny termin. Albo komuś przekażę. Jednym słowem, jutro będę gotowa do wyjazdu.

- Pani Whitcomb, ale czy pani jest absolutnie pewna, że...

- Marcio!

Ten ton głosu... Ale asystentka w końcu się przy-  
mknęła. Skinęła tylko głową i znikła z pola widzenia. A  
Jane, niestety, uzmysłowiła sobie, że po raz kolejny  
okazała się jedzą. Najgorszą jedzą, jaką można sobie  
wyobrazić, tym bardziej niegodziwą, bo trapiącą już  
widmem menopauzy.

Była żalosna.

Ludzie nie tylko jej unikali. Zachowywali się tak,  
jakby się jej bali. Może i powinna była wcześniej to za-  
uważyć, zastanowić się. Niestety, od bardzo dawna żyła

w nieustającym pośpiechu. Tylko praca i praca. Nigdy nie zwalniała tempa, nawet nie tylko po to, żeby powąchać róże. Także po to, żeby uświadomić sobie, że zmieniła się w boleśnie kłujący kolec.

Wchodziła na pokład samolotu półprzytomna. Oczy przymknięte, usta szczelnie zamknięte. Do nikogo nie odezwała się ani słowem. Piąta rano zdecydowanie nie była dla niej godziną optymalną. Noc zarwała, zamykając przed wyjazdem sprawy. Spała najwyżej godzinę. Gdzieś po drugiej w nocy otworzyła walizkę, i natychmiast uznała, że nie ma co zawracać sobie głowy pakowaniem. Wrzuciła tylko trochę kosmetyków, kostium kąpielowy, szorty i coś tam jeszcze. W końcu jak czegoś będzie potrzebować, to sobie kupi.

Chwiejnym krokiem przeszła środkiem samolotu i odszukała swoje miejsce. Rzuciła na fotel torebkę. Usiadła, zapięła pasy. Nie miała pojęcia, jak długo będzie trwał lot. Na bilet tylko rzuciła okiem. Teraz jej jedynym pragnieniem było kilka godzin snu podczas lotu, potem kontynuacja spania w hotelu niedaleko lotniska, gdzie ma zarezerwowany pokój na pierwszą noc. O tym, co dalej, pomyśli się potem. A nie przedtem.

Samolot był wielki. Tył już zatkany. Większość pasażerów usadowiła się wygodnie i zapadała w drzemkę. Twarze ludzi, których mijala, podążając do swojego fotela, były niezauważalne dla jej umęczonego wzroku. Wyodrębniła tylko kilka osób. Chuderlawego biznesmena, wyrosniętego, poważnego chłopaka, bardzo przystojnego faceta w wojskowym mundurze oraz dwie rozgadane nastolatki. Kiedy w końcu zagłębiła się w fotelu, przede wszystkim podziękowała w duchu bogom podróży za puste miejsce obok. Fotele naprzeciwko były zajęte. Siedziały tam dwie siwowłose panie okazałych rozmiarów, obie pogrążone w głębokim śnie.

Nie mogła się doczekać, kiedy zrobi to samo. Ułożyła poduszkę pod szyją, westchnęła i zamknęła oczy.

Które natychmiast otworzyła. I to szeroko.

Nikt tak skonany jak ona - i to skonany od lat! - nie powinien mieć kłopotu z zaśnięciem.

A jednak miała do czynienia z takim właśnie przypadkiem. Kiedy znów mocno zamknęła oczy, powieki uniosły się szybciej niż klaun wyskakuje z pudełka.

W rezultacie, kiedy silniki samolotu zaryczały przed startem, oczy miała szeroko otwarte, a wzrok wbity w pewnego pasażera trzy rzędy przed nią.

Zauważyła go już wcześniej. Przystojny facet w mundurze wojskowym. Siedział sobie wygodnie, wyciągnął długie nogi. Widziała dokładnie profil zakończony w górze ciemnymi włosami. I nawet z tej odległości dostrzegła na jego pagonach błysk mosiądzu. Ten detal jednak nie był dla niej istotny. Tylko twarz. Coś w niej zastanawiało. Zauważyła to już, kiedy go mijała. Ten błysk w ciemnych oczach, kanciasty profil, zarys podbródka...

Teraz dotarło. Ona już go gdzieś widziała.

Nie mogła sobie przypomnieć, kto spośród jej znajomych chodzi w mundurze, a już tym bardziej kto zasłużył sobie na mosiądz. Chyba nikt, tylko jej się wydaje, że zna faceta. A ciśnienie podskoczyło trochę z bardzo prozaicznego powodu. Facet jest po prostu super.

Oczywiście, zarejestrowała to tylko jako suchy fakt. Jane Whitcomb nie ma i nigdy nie będzie miała zwyczaju zwracać sobie głowy obcymi facetami.

Ale ślepa nie jest. Ten konkretnie facet jest wybitnie przystojny.

Zamknęła oczy i postarała się pomyśleć o czymś innym. Niestety, znów nasunął się bardzo nieprzyjemny temat. O niej samej. Jaka jest żałosna i wredna.

Zdecydowanie działo się z nią coś bardzo niedobrego. Tylko co? Po raz ostatni swoje wnętrza analizowała wiele lat temu, kiedy była roześmianą, szczęśliwą, pełną werwy nastolatką, która dokładnie wiedziała, czego chce od życia. Dążyła do tego. Walczyła. I zdobywała.

Jak to możliwe, że kiedy osiągnęło się już wszystko, czego człowiek chciał - ów człowiek czuje się tak nieszczęśliwy?

Starając się pomóc sobie w wyjściu z dołka, zmusiła się do przejrzenia wykazu wszelkich dobrodziejstw, którymi życie jednak ją obsypało. Było tego sporo, po prostu całe tony! Naprawdę nie było się na co uskarżać.

Rozwód osiągnął już wiek lat trzech, czyli wystarczająco, żeby wszystkie żale przyschły. Cray nigdy jej nie oszukiwał, nie był wobec niej brutalny czy obraźliwy. Był zwyczajnym pasożytem. Należał do facetów, którzy znajdują sobie ambitną żonę, dzięki czemu mogą się wałkonić i przejadać jej pieniądze. Może i tolerowałyby to dłużej, gdyby ją kochał. Ale cóż...

Najważniejsze, że teraz, w roli singielki, czuje się świetnie. I nadal jest zachwycona, że uwolniła się od Craya.

Najważniejsze, że ma kochane dzieciaki! Bry ożenił się, na rok wyjechał z żoną na Alaskę. Lar zaczął robić

kariere, w Seattle. Angel, najmłodsza latorośl, nie wyfrunęła jeszcze z rodzinnego gniazda, chociaż te wakacje, po których czeka ją ostatni rok nauki w college'u, spędzała bardzo samodzielnie, w Europie, w ramach programu wymiany studentów.

Dom został spalony, a nowy biały lexus był miłością Jane. Szafy wypełnione Elie Taharim i St. John'sem. Także butami - do butów czuła prawdziwą słabość. Na wszystko, co miała, trzeba było oczywiście zapracować. Na każde dziesięć centów. Udało się zarobić tych centów bardzo wiele, robiąc błyskotliwą karierę zawodową. Nigdy nie chciała być średniakiem. Marzyła, żeby zostać znakomitą prawniczką, specjalistką od prawa zobowiązań.

Marzenie się spełniło. Jane umościła się w swoim fotelu jeszcze wygodniej. Im więcej wyliczała tych dobrodziejstw, tym bardziej oczywistym stawał się fakt, że po prostu jest szczęśliwa.

Powinna być szczęśliwa. Skąd więc, do cholery, ta piekąca wilgoć pod powiekami?!

Jak tylko doleci na te głupie Karaiby, da sobie porządny kopa. Koniecznie...

Nagle w głowie znów odezwała się stara piosenka.

Natrętna, ale taka ładna. Pogodna, zdecydowanie poprawiająca nastrój.

- Chcę tam jechać, na Kokomo...

Minuta. Na pewno nie dłużej. Tylko na minutę przy-  
mknęła oczy i otworzyła natychmiast, przerażona głośnym  
krzykiem jakiejś dziewczyny.

Zamiast jasnego światła poranka za oknami  
samolotu widać było czerń. Czarniejszą niż smoła. Sa-  
molot wyraźnie się pochylał. Jakaś inna kobieta zaczęła  
krzyczeć rozpaczliwie, zamilkła jednak, kiedy w głośni-  
ku rozległ się spokojny głos pilota.

- Proszę państwa, doskonale wiem, że turbulencje  
nie należą do przyjemności. Niestety, przed pogodą nie  
da się uciec. Postaramy się wylądować jak najszybciej.  
Kiedy tylko znajdziemy się na ziemi, zostaną państwo  
natychmiast ulokowani w bezpiecznym miejscu. Teraz  
proszę zachować spokój.

Jane słuchała go, nie odrywając oczu od okna. Od  
spektaklu grozy, kiedy z kłębu czarnych chmur wysunął  
się nagle lej. Jeden, zaraz po nim drugi. Całą kabinę  
znow wypełnił rozpaczliwy kobiecy krzyk:

- Tornado! To tornado! Wszyscy zginiemy!

Zaraz potem włączył się jakiś inny głos, tym razem męski:

- Wszystko będzie dobrze. Za chwilę będziemy na ziemi. Nic nikomu się nie stanie.

Ten głos... Niemożliwe. Czyste wariactwo, ale jednak... Tak. Na pewno. Znała ten głos.

Przez następnych kilka minut każdy trwał w swoim przerażeniu. Przecież ten straszliwy wicher pojawił się znikąd. Pojawił się nagle, z czarnymi chmurami, które kompletnie przesłoniły błękitne, przejrzyste niebo.

Samolot wylądował. Podskakiwał na pasie, hamulce piszczały nie głośniej niż bicie serca wszystkich. Jane czuła w gardle dławiący smak strachu. Nie był to strach związany ze stresem czy jakąś presją. Nie. To był prawdziwy strach, ale jednocześnie słowa tego mężczyzny odbijały się echem w jej głowie. Krótkie słowa wypowiedziane mocnym, spokojnym głosem były jak balsam, pozwalały uwierzyć, że faktycznie nic nikomu się nie stanie.

- Proszę pana, czy pan wie, gdzie jesteśmy? - spytała Jane starszego pana, który siedział po drugiej stronie przejścia.



- W Kokomo.
- W Kokomo ?

Wyteżyła wzrok, próbując dojrzeć coś poza czarnymi chmurami i strugami ulewnego deszczu. Niestety, żadnych oznak, że dotarła do tropikalnego raju. Tylko płaski krajobraz poznaczony budynkami zwyczajnego amerykańskiego miasteczka. W dali widać było pola i farmy.

Oczywiście, jeśli było to przymusowe lądowanie, w sumie nieważne, gdzie są. Najważniejsze, że już na ziemi. Ale...

- Proszę pana! To nie może być Kokomo!
- Zareczam panią, że tak jest. Nie mogę się mylić, pochodzę przecież z tych stron. To Kokomo. Kokomo w stanie Indiana.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jane trudno było zachować spokój, skoro większość pasażerów znajdowała się na pograniczu paniki. Drzwi samolotu jeszcze nie otwarto, a już kłębił się przy nich tłum przerażonych ludzi. Pilot i drugi pilot szybko wyszli z kokpitu i starali się zaprowadzić jaki taki ład. Pomagał im w tym ten przystojny mężczyzna w mundurze, natomiast stewardesa, bardzo młoda i niedoświadczona, była tak samo przestraszona jak pasażerowie.

- Wprost nie do wiary! Nie do wiary - powtarzała zalamującym się ze zdenerwowania głosem. - Zapowiadali opady i wiatry, ale przecież nie tornado! Proszę państwa, bardzo proszę. Wychodzimy tędy. Po zejściu ze schodów proszę kierować się w stronę otwartych drzwi. Przejdziemy tam jak najszybciej. Czeka tam na państwa stewardesa, która pokieruje państwem dalej...

Mężczyzna w mundurze spokojnie udzielał ludziom sensownych rad:

- Proszę zabrać z sobą swoje torby i torebki. Upewnić się, czy mają państwo lekarstwa lub inne niezbędne przedmioty. Niczego więcej proszę nie brać, później będziemy się o to martwić. Kiedy zejda państwo po schodach, proszę iść dalej razem z drugą osobą. Przygotować się, że będzie porządnie wiało.

Kiedy go mijala, spojrzala na niego jeszcze raz... i poczula się, jakby strzelil w nia piorun. Oczywiscie calkiem innego rodzaju niz ten, ktorym moglo potraktowac ja tornado.

Tak, znala go.

- Pomoc pani w czymś? - zapytal.

- Och nie, dziekuje. Wszystko w porzadku.

Nie byla to odpowiednia pora, zeby z czymkolwiek wyskakiwac jak jakaś idiotka. Tym bardziej ze on, jezeli ja tez rozpoznal, absolutnie nie dawal tego poznac po sobie. A ona miala juz calkowita pewnosć i natychmiast ozyly w niej wspomnienia.

Po prostu tlukly w nia jak jakis taran.

Henry White. Hank. Kiedyś, bardzo dawno temu - jej Hank. Ale to bylo naprawde bardzo, bardzo dawno temu.

Gdy stanęła w otwartych drzwiach samolotu, natychmiast poczula na sobie ostre podmuchy wiatru. Smagal

bezlitośnie. Szarpał spódnicą, włosami, utrudniał oddychanie. Deszcz bombardował wielkimi kroplami, ciężkimi jak grudki ziemi. W ciągu sekundy była przemoczona do suchej nitki, a wszędzie dookoła fruwały najdziwniejsze rzeczy. Nogi krzesel, ręczniki, kawałki żelaza i papieru, ułamane gałęzie, chociaż nigdzie w pobliżu nie widać było drzew. Nagle coś dźgnęło ją w ramię. Zabolało porządnie, ale zignorowała to. Później sprawdzi, teraz najważniejsze to złapać się mocno poręczy i schodzić na dół.

Z tyłu słyszała głośnie sapanie. Dwie panie w wieku jej matki z trudem utrzymywały się na nogach. Chwyliła je mocno pod ręce i wszystkie trzy pobiegły do otwartych drzwi terminalu. Pokonanie trzydziestu metrów okazało się większym wyzwaniem niż przebiegnięcie wielu kilo? metrów.

- Tutaj, proszę! Do mnie! - Pracownik z obsługi naziemnej nie bawił się w uprzejmości, tylko wepchnął je do środka i nakierował w prawą stronę. - Proszę iść tam, za te obrotowe drzwi, i usiąść na podłodze pod ścianą z betonu. Szybko! Szybko!

Wtedy to usłyszała, tę nagłą zmianę w dźwiękach dobiegających z zewnątrz. Już nie tylko wicher, nie tylko

ulewa. Wicher skręcił się w spiralę i przeistoczył się w zabójczą broń.

Nadciągało tornado. Jane natychmiast zrobiła to, co zrobili wszyscy, czyli podbiegła do ściany i usiadła, wpierając się plecami w zimny beton. Objęła rękoma kolana i pochyliła głowę.

Ludzie krzyczeli i płakali, mężczyźni, kobiety, bez różnicy. Prąd wysiadł, cały terminal pogrążony był w ciemnościach. Wszyscy siedzieli skuleni i trzęśli się ze strachu, wsłuchani w przerażający ryk żywiołu.

A potem nastąpiła cisza. Jane poderwała głowę. Na rękawie jedwabnej bluzki zauważyła ciemną plamę. Chyba zaschnięta krew. Czyli to coś, co ją dźgnęło, zrobiło to porządnie.

Zaczęła dygotać. Było jej nieludzko zimno. Może z nadmiaru emocji albo dlatego, że przemokła. Na głowie - zawsze starannie ostrzyżonej na krótko, ponieważ była to jedyna metoda, żeby utrzymać w ryzach gęste loki - mokre strąki. Mokre spodnie z jedwabiu lepiły się do bioder i pośladków. Zmokła kura, ale w końcu wyglądała nie gorzej niż reszta ludzi. Poza tym, a to było najważniejsze, żyją. Jeszcze trzy godziny temu ten fakt wcale nie wprawiał jej w zachwyty, a teraz napawał szczęściem.

Poza tym jej umysł przetrwał jeszcze inny fakt. Kokomo w stanie Indiana. Jakim cudem tu się znalazłaś. Tę zagadkę rozwiązała z łatwością. Przypomniała sobie, jak Marcia z uporem powtarzała swoje pytanie: „Czy pani jest pewna, pani Whitcomb?”. Dla Marcii Kokomo to Kokomo w stanie Indiana. Trudno jej było uwierzyć, że to właśnie miejsce szefowa wybrała jako cel swej podróży. A szefowa jęcza, w jaką zmieniła się Jane, nie dała Marcii żadnych szans na wyjaśnienie tej kwestii.

RS

A potem w głowie Jane dominowała już tylko jedna myśl: Henry White.

O ironio losu! Nie dość, że zafundował jej przymusowe lądowanie, to musiał jeszcze dołożyć towarzystwo osoby bardzo dla Jane problematycznej. Nie widziała Hanka od chwili ukończenia szkoły średniej. Chłopaka, którego kiedyś potraktowała okropnie. Po prostu go zgniotła, i to bez żadnych wyrzutów sumienia, jak komara.

Ten chłopak nie zrobił jej nic złego. Był tylko w niej zakochany. Kiedyś, w zamierzchłych czasach, podczas ostatnich wakacji w szkole średniej. Tamtego lata, kiedy jeszcze wierzyła w nieograniczone możliwości i miała całe mnóstwo marzeń...

Henry White. Przykucnął tuż przed nią, jakby chciał, żeby inni pasażerowie nie usłyszeli ich rozmowy.

- Nazywam się Henry White. Hank. Miałyby pani ochotę trochę popracować?- Musimy tu wszystko jakoś zorganizować.

- Oczywiście! - Natychmiast poderwała się z podłogi.

Oprócz niej wybrał jeszcze cztery osoby, samych

mężczyzn, i wszyscy przeszli do niewielkiego pomieszczenia biurowego, gdzie czekali już obaj piloci oraz kilku pracowników z lotniska.

Niemniej jednak głos zabrał Hank, jakby to on siłą rzeczy przejmował dowództwo:

- Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że czekają nas trudne chwile. Przez całą okolicę przemierzają się tornado. Nie ma prądu, linie wysokiego napięcia pozrywane. Z awaryjnego generatora korzystać będą przede wszystkim szpital i służby ratownicze. Płyta lotniska i wszystkie drogi w okolicy są zablokowane przez przewalone słupy, drzewa, domy...

Jego spojrzenie przemykało po zgromadzonych. Spojrzał i na nią, jednak tak samo jak na wszystkich. Czyli jej nie rozpoznał. A ona przecież w końcu tak bardzo się nie zmieniła!

On też. Nie mogła oderwać od niego oczu. Był świetnym chłopakiem, spokojnym, trochę nieśmiałym i wyjątkowo inteligentnym. I tamtego właśnie chłopaka zobaczyła w tej dojrzałej męskiej twarzy o zdecydowanych rysach. Oczy ciemne, gęste włosy też. Bardzo ciemne w zestawieniu z jasną, irlandzką cerą.

- Dwa samoloty miały przymusowe lądowanie, nasz



i jeszcze jeden. Czyli i oni, i my jedziemy na tym samym wózku. Prawdopodobnie będziemy tu uziemieni przez jakieś dwa lub trzy dni. I trzeba się liczyć z tym, że jeśli nie podejmiemy zdecydowanych kroków, wkrótce zapakuje tu chaos.

- Jak można temu zapobiec? - spytała Jane. Spojrzał na nią. Spojrzenie... takie normalne.

Nadal żadnych oznak, że ją rozpoznał.

- Przede wszystkim trzeba zorganizować to, co niezbędne. Woda, jedzenie, prowizoryczne sanitariaty, bo toalety w terminalu, jeśli nie będą splukiwane wodą, natychmiast się zatkają. Trzeba zorganizować ludziom jakieś spanie. Przeprowadzić wywiad, czy nie ma wśród pasażerów osób wymagających szczególnej opieki. Może komuś potrzebne są jakieś leki. Samolot uległ uszkodzeniu, wyjęcie bagażu będzie jednak możliwe.

Dwóch mężczyzn w garniturach dostało zadanie wyładowania bagażu oraz wyniesienie z samolotu wszystkich koców i poduszek. Mieli zabrać się za to już teraz, kiedy wicher nieco osłabł. Postanowiono również, że rzeczy zostaną zgromadzone w wyznaczonych miejscach, dzięki temu nie będą rozwłócone po całym lotnisku. Prowizoryczne sanitariaty, czyli sprawę podsta-

wową, wziął na siebie jeden z pasażerów, inżynier z zawodu. Już zakasywał rękawy

Jane kilkakrotnie otwierała usta, żeby zgłosić się na ochotnika, natychmiast jednak rezygnowała. Niestety, nie miała żadnego doświadczenia w organizowaniu gar-kuchni czy budowie latryn. W rezultacie wszyscy oprócz niej otrzymali jakieś zadanie i powoli zaczęli się rozchodzić. Nagle okazało się, że w mrocznym pokoju zostały już tylko dwie osoby. Ona i Hank.

- Nie przydzieliliś mi żadnego zadania - poskarżyła się Jane.

- Zaraz ci przydzielę. Tak naprawdę jedno z najtrudniejszych. Przepraszam, ale nie wiem, jak się nazywałeś...

- Jane. Jane Whitcomb - wyrzuciła z siebie. I nic. Żadnej reakcji. Nawet jej nazwisko nie ożywiło jego pamięci. Nie pamiętał, kto ona jest, nie pamiętał, że zachowała się jak gówniara bez serca i powinien teraz na nią spoglądać z obrzydzeniem, jak na jakiegoś robala.

Hank... Dziwne, ale w jej pamięci nagle ożyły inne wspomnienia, bardzo miłe. O tym, jak Hank wparł ją w mur okalający szkołę i całował zapamiętałe. O tym, jak leżeli obok siebie na plaży i drzemali w słońcu.

No i ten bal kotylionowy... Miała wtedy na sobie dłu-

gą suknię bez ramiączek z białego jedwabiu. Kapela grała piękne stare walce, ale po dziesiątej, kiedy starsze pokolenie poszło już do domu, dała czadu. Zagrali klasycznego rocka. Jane nie pamiętała już dokładnie, co grali. Na pewno jednak tę piosenkę Beach Boysów.

„Kokomo”.

Na tym balu bawiła się świetnie. Razem z Hankiem. Jednak to nie Hank odprowadził ją do domu.

To nie z Hankiem spała tamtej nocy.

Z innym chłopakiem. Nie z chłopakiem; którego kochała, lecz z tym, z którym mogła związać swoją przyszłość. Tak przynajmniej jej się wtedy wydawało...

- Jane? Słuchasz mnie?

- Och, przepraszam! Oczywiście, że tak. Tylko trochę mi umknęło, rozumiesz, po tak stresującym poranku jestem nieco rozkojarzona.

- To zrozumiałe. A więc powtarzam, jestem zdania, że tylko ty poradysz sobie z tym zadaniem. Potrzebny jest ktoś, kto zaopiekuje się ludźmi, pomoże im pozbyć się stresu, dopilnuje, żeby nie dochodziło do konfliktów. Dowie się, czy wśród pasażerów nie ma kogoś, kto jest na diecie albo potrzebuje specjalnej opieki zdrowotnej. Zwykle tego rodzaju zadanie powierza się stewardesie,

ale sama widziałaś. Ta dziewczyna kompletnie się...

- Do tego nie nadaje. To jasne.

- No właśnie. Nikt nie będzie jej słuchał... - Nagle urwał, uśmiechnął się. - Może to głupie, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już ciebie widziałem.

W pierwszym odruchu miała zamiar potwierdzić. Owszem, znamy się od bardzo dawna. Mogła to powiedzieć, ale raptem się okazało, że to wcale nie takie proste.

Nie chciała, żeby jej nienawidził. Nie chciała, żeby pamiętał, co mu zrobiła.

Może też był jeszcze jeden powód. W ciągu ostatnich kilku dni zaczynała sobie uzmysławiać w bólu i męce, że tak naprawdę nadal jest tamtą dziewczyną, tylko trochę starszą. Niestety, nie jak wino, któremu upływ czasu wychodzi na dobre. Raczej jak szampan, który z czasem kwaśnieje.

Co wcale nie znaczy, że ona taka jest, to znaczy skwaśniała.

Oj, chyba jednak tak.

A Hank wyraźnie czekał na odpowiedź.

Nie doczekał się, bo w drzwiach ukazała się głowa pilota, kapitana Bunkera.

- Hank, pozwól na minutkę...
- Jasne, już idę! Na razie, Jane. Spotkamy się później.

Później oznaczało wieki. Wieki, w czasie których zapanował kompletny chaos. Kiedy wszyscy wysiedli z samolotu i skryli się w terminalu, byli bardzo spokojni. Ze strachu. Nad głowami przecież przeciągało tornado. Teraz było już bezpiecznie, a przynajmniej wszyscy w to wierzyli, i nagle wszyscy też ożyli. Chcieli wyjść na dwór. Chcieli jeść. Chcieli zadzwonić do rodziny, do pracy. Chcieli dostać swoje bagaże, chcieli wiedzieć, co będzie się działo potem. Kiedy. Jak. Gdzie. Dlaczego.

Mundurowych nie brakowało: personel lotniska, piloci czy Hank, który jako najwyższy rangą w sposób naturalny przejął dowództwo. Mnóstwo jednak osób z różnymi sprawami zwracało się właśnie do Jane. Początkowo była tym zaskoczona, po jakimś czasie dotarło jednak do niej, dlaczego Hank to zadanie powierzył właśnie jej.

Bo musiała być to kobieta. Przede wszystkim starsze panie i dzieci wołały rozmawiać z kobietą, potrzebowały kobiecej serdeczności i wyrozumiałości. A poza tym to głównie panie miały palące problemy natury osobistej,

którymi najłatwiej było podzielić się z drugą kobietą.

Jak te dwie siwowłose damy z pierwszego rzędu w pierwszej klasie, zresztą podobne do siebie jak dwie krople wody.

- Moja siostra ma cukrzycę. W torebce ma insulinę, niestety nie wiemy, gdzie jest jej torebka. Chyba została w samolocie, ale nie pozwalają nam tam wejść...

- W porządku - ucięła Jane. - Jak wygląda torebka? Poza tym czy pani nie powinna teraz coś zjeść?

Mężczyźni też mieli problemy, jak choćby Walter, starszy pan o wyjątkowo długich, cienkich nogach.

- Proszę pani, przyleciałem na pogrzeb. Umarła moja siostra. Muszę natychmiast się stąd wydostać.

- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale teraz to zbyt niebezpieczne. Drogi są zawałone, wszędzie leżą druty pod napięciem. Musimy zostać tutaj. Pańska rodzina być może przeszła to samo co my. Jeśli nie, to na pewno słyszała w wiadomościach o tornadach. Będą martwić się o pana, ale nie ma innej rady, musi pan tu zostać. Postaramy się, żeby wyjechał pan jak najprędzej. Kiedy dochodziła do drzwi, podskoczyły do niej dwie nastolatki, obie z rozmazanym makijażem. Żadna z nich nie wyglądała już na tak pewną siebie jak w samolocie.

- Musimy iść do toalety.

- Sanitariaty wkrótce będą gotowe do użytku. Teraz możecie skorzystać z toalety damskiej w terminalu, z tym że tam wody na pewno nie ma...

- Ale ja muszę umyć sobie twarz!

- Niestety, raczej nie będzie to możliwe. Musimy oszczędzać wodę. Tylko do picia i gotowania. Mam nadzieję, że nie potrwa to długo...

Czuła, że dziewczęta mają wielką ochotę podyskutować, dlatego zdecydowała się na radykalną zmianę tematu.

- Chciałam prosić was o pomoc. Trzeba spenetrować cały terminal. Sprawdzić, czy na piętrze są jakieś duże pomieszczenia. Prawdopodobnie spędzimy tu kilka nocy, dobrze by było wydzielić osobne pomieszczenia dla kobiet i mężczyzn. Chcę wiedzieć, czy jest to możliwe. Pomożecie mi?

- Spoko!

Nastolatki, jak można się było spodziewać, podeszły do tego entuzjastycznie.

- Mamy wchodzić wszędzie? - spytała jedna z nich. - Do każdego pokoju?

- Chodzi ci o prywatne biura, prawda- Sądzę, że

skoro wykonujecie ważne zadanie, możecie tam wejść.  
Gdyby ktoś pytał, mówcie, że działacie na zlecenie Jane.

- Ekstra!

A zaraz potem ten problem z Ronaldem. Starszy pan o kulach, weteran dwóch wojen i trzech międzynarodowych konfliktów, aż palił się do działania, a wyglądał tak krucho. Nie wyobrażała sobie, żeby można było powierzyć mu zadanie wymagające nawet niewielkiego wysiłku fizycznego.

Ale spojrzenie Ronalda było bardzo bystre.

- Proszę pana, jest coś, czym koniecznie należałoby się zająć. Po prostu mieć oko na resztę. Usiąść tak, żeby widzieć drzwi wejściowe i patrzeć. Poprosiliśmy wszystkich, żeby nie wychodzili z terminalu. Chcemy upewnić się, czy wszyscy są, czy nikt stąd nie uciekł. Ale ludzie jak to ludzie. Palacz zawsze wymknie się na papierosa. Ktoś inny koniecznie będzie chciał pooddychać świeżym powietrzem, zobaczyć, jak to teraz wygląda na zewnątrz. Jednym słowem, czy mógłby pan objąć wartę przy drzwiach? Popilnować, czy nikt nie wychodzi, a w razie czego zawiadomić któregoś z mundurowych. Ja sama zresztą co jakiś czas zaglądałabym do pana. Zgoda?

- Zgoda!



Starszy pan entuzjastycznie uniósł kciuk.

Czyli, jak pomyślała Jane, jeszcze jeden dowód, że człowiekowi zawsze łatwiej znieść nietypową sytuację, jeśli ma coś do roboty.

Dzięki Bogu, że urodziła się na szefową. Teraz trzeba będzie to wykorzystać.

Kilka godzin później z głodu kręciło jej się trochę w głowie. Włoskie jedwabne spodnie nadawały się tylko do wyrzucenia, nogi bolały, rana na ramieniu też. Mimo to, kiedy udało jej się ukryć za drzwiami, żeby choć na kilka sekund zrobić sobie przerwę, pomyślała, że tak naprawdę to jest... zachwycona!

W ciągu tych kilku godzin ani razu nie pomyślała o firmie. Nie pamiętała już, kiedy przez tyle godzin obywatela się bez towarzystwa komputera i telefonu. A co najważniejsze, wszyscy pasażerowie, niezależnie od stopnia zdenerwowania, uważali ją za mądrego, operatywnego człowieka o wielkim sercu. A nie po trzykroć jędzę, w jaką zmieniła się ostatnio.

Cudownie.

Otworzyła szeroko drzwi na samym końcu terminalu, którymi zwykle wychodzili ludzie do prywatnych samo-

lotów. Teraz nikt nie miał powodu z nich korzystać, była więc pewna, że uda jej się przedłużyć tak potrzebną chwilkę samotności.

Spojrzała w niebo. Błękit znikł za szarozółtymi chmurami. Parno, powietrze nadal było naładowanie elektrycznością. Wciąż wiało. Wicher niezmordowanie roznosił różne śmieci i rupiecie we wszystkie strony świata.

Na jednym z pasów startowych pomarańczowa ciężarówka usiadła sobie na białej terenówce. Jakies sto metrów dalej leżało drzewo. Wielkie, stare, z sękatymi korzeniami. A przecież nigdzie dookoła nie widać było żadnego lasu. Hangar został przyozdobiony kawałem czyjegoś dachu. Wszędzie papiery, plastiki, odpadki najróżniejszego rodzaju. Jakby przejeżdżał tędy jakiś ogr z bajki, opróżniając po drodze swoją gigantyczną śmieciarę.

I dlatego muszą tkwić w terminalu jeszcze przez wiele godzin, może nawet dni, dopóki drogi znów nie staną się przejezdne.

Ich samolot wyglądał nie najgorzej, a obok samolotu... ogień! W pierwszej chwili się przeraziła, lecz potem uśmiechnęła. Gigantyczne barbecue! Jakby nagle wiele

rodzin albo restauracji zmuszonych zostało do opróżnienia swoich lodówek. A ponieważ szkoda, żeby tyle dobra się marnowało, urządzono więc wspólne gotowanie na wielkim ognisku.

Bóg jeden wie, jaki będzie tego rezultat. Czy zdążą zjeść wszystko z tych olbrzymich garnków? Jedno jest pewne: nikt nie będzie chodził głodny.

Przy garnkach dyżurowały dwie korpulentne damy z dumą dzierżące w dłoniach swoje insygnia, czyli olbrzymie chochle.

- Superlaska!

Dopiero teraz zauważyła, że koło tych drzwi wcale nie jest sama. Kawałek dalej, w cieniu, stał oparty o ścianę Hank. Wprawdzie pozbył się kurtki od munduru, ale zachował wojskową postawę. Wysoki, prosty, sprężysty. Wszystko w nim było takie beznadziejnie samcze. Wyglądało na to, że czuł się świetnie w swojej skórze. Nie musiał nikomu przypominać, jakiego jest rodzaju, jaką wykonuje pracę, jakie sukcesy odniósł w swoim życiu. Wszystko to widać było w jego postawie, w przenikliwym spojrzeniu ciemnych oczu, w nastawieniu do reszty świata.

- Przypomniałeś sobie? - spytała.

- Od razu wiedziałem, że skądś cię znam, ale nie było czasu na zastanawianie się. Sporo mieliśmy atrakcji, prawda? Teraz już wiem. To ty. Superlaska... - Przechylił głowę, przez chwilę przyglądał jej się bardzo uważnie. – Wtedy miałaś o wiele dłuższe włosy, ale poza tym wcale się nie zmieniłaś.

- Dziękuję. Jesteś bardzo miły – powiedziała z uśmiechem. -A ja, szczerze mówiąc, nie wiem, czy cieszyć się, że mnie rozpoznałeś. Kiedyś potraktowałam cię raczej podle.

- Naprawdę? Pamiętam tylko, że mieliśmy wspaniałe wakacje, ostatnie przed ukończeniem szkoły. Teraz znów się spotykamy. Po tylu latach, na lotnisku w Kokomo, w stanie Indiana.

Ze wszystkich miejsc na świecie musieliśmy wybrać właśnie to!

- A ty skąd się tu wziąłeś?

- Przyleciałem do bazy Sił Powietrznych w Grissom, stąd to dosłownie rzut beretem. Mój stary przyjaciel dostał awans i chciałem być na uroczystości. A ty?

Zaczęła mu coś tam pleść o przepracowaniu, o konieczności wypoczynku, przetrawiając jednocześnie w duchu jego słowa. Hank pamiętał tylko, że mieli wspa-

niałe wakacje. Wszystko inne poszło w niepamięć. Czyli prawdopodobnie wcale go tak bardzo nie zraniła, skoro dziś nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Na pewno zresztą miał potem ciekawe, bogate życie. Wspomnienie o Jane to dla niego tylko mały punkcik na ekranie radaru.

Chwała Bogu! Dzięki temu nie ma powodu, żeby czuć się w jego towarzystwie niezręcznie i robić sobie wyrzuty. Ale...

Ale jednak ją zaskoczył.

Tamtego lata siedemnastoletnia Jane wiedziała dokładnie, czego chce od życia. Miała sprecyzowane cele, szczegółowy plan kariery zawodowej.

Hank tamtego lata miał tylko jeden cel: być razem z nią.

A teraz, zdaje się, z nich dwojga to on wygląda na zadowolonego z życia, ona natomiast ma nadzieję, że z powodu przymusowego lądowania pobędą tu trochę dłużej. Jak najdłużej. Żeby jak najpóźniej powrócić do swego „cudownego” życia.

Dziwnie wiodą ludzkie ścieżki...

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Jane, naprawdę nie rozumiem, dlaczego Joella dostała polówkę, a ja nie!

- Dlatego, że w całym tym budynku są tylko trzy polówki, Delores, więc mogły je dostać tylko trzy osoby. Reszta powinna się cieszyć, że ma do dyspozycji wykładowcę i koce.

- Ale Joella ma tylko artretyzm, a ja miałam raka, a także cukrzycę. Jestem bardziej schorowana niż ona! Poza tym - a to już szczyt wszystkiego! - ona podebrała mi mój hiddenit.

- Hiddenit?

- Tak. Słyszałaś na pewno o czakrach? A ja za ten minerał zapłaciłam bardzo dużo. Dziś po południu pożyczę sobie polówkę. Tylko na trochę, chyba nie masz

nic przeciwko temu. Ułożyłam się na plecach, hiddenit położyłam dokładnie na środku klatki piersiowej. Wiadomo, że tylko wtedy wytwarza on w organizmie człowieka pełną harmonię. Poza tym bardzo pomaga na palpacje serca. Leżałam więc tak sobie, a kiedy otworzyłam oczy, hiddenitu już nie było. Wiem, że podebrała go Joella. Ona zawsze chce mieć to co ja. Jest potwornie zazdrosna!

Niezmordowana Delores dreptała za Jane, nie odstępując jej na krok, choć Jane wciąż była w biegu i miała pełne ręce roboty, starając się jeszcze przed zmrokiem stworzyć ludziom jak najlepsze warunki do noclegu. Dzięki brezentowym płachtom udało się stworzyć coś w rodzaju sypialni dla pań i panów. Warunki nie były komfortowe, ale każdy przynajmniej, dzięki kocom i poduszkom z samolotu, a także swoim ubraniom powyciąganym z walizek, mógł wyszykować sobie legowisko.

- Jane! - To krzyczała jedna z nastolatek, ta z perełką w brwi. Od momentu, gdy dostała swoją walizkę, zdążyła się przebrać po raz trzeci. -Jane! Rina powiedziała, że nie można używać papieru toaletowego!

- Bo nie można. Musimy oszczędzać wodę, dlatego korzystamy z prowizorycznych sanitariatów. Nie wolno

wrzucić do nich papieru toaletowego, bo wszystko się zatka.

- Ale przecież muszę użyć papieru!

- Tak, ale potem wrzucić go do czarnego plastikowego kubelka.

- Mam to robić na oczach wszystkich?

- Kochanie, przecież wszyscy to robimy, prawda? A wodę trzeba oszczędzać. W związku

RS



z tym mam do ciebie prośbę. Czy na tych kilka dni nie mogłabyś zrezygnować z makijażu?

Szesnastolatka spojrzała na nią z takim zdumieniem, jakby Jane proponowała jej paradowanie nago po ulicy.

Delores znów pociągnęła ją za rękaw.

- Jane! Nie powiedziałaś mi, jak będzie z tą polówką!

Jednocześnie z drugiej strony zbliżał się Dwight, chuderlawy biznesmen, który w samolocie siedział z tyłu. Teraz wyglądał inaczej, wcale nie jak biznesmen. Krawat znikł, a policzki i broda obsypane były świeżym zarostem.

- Jane! Cały dzień cię ścigam!

- Wiem, Dwight - powiedziała miękko. - Wiem, że okropnie martwisz się o swoją żonę. Ale cóż, zostali odcięci od reszty świata. Nie było prądu, nie było więc jak doładować komórki czy podłączyć laptopa, o czym Dwight doskonale przecież wiedział.

- Rozmawiałam z kapitanem i z obsługą lotniska. Są przekonani, że jutro zjawi się tu policja albo Gwardia Narodowa, ale nie wcześniej, całe miasto przecież bardzo ucierpiało. My nie jesteśmy priorytetem.

- Rozumiem. Ale Sara jest w ciąży...

- I martwisz się o nią. Denerwujesz się także tym, że ona martwi się o ciebie. Jestem pewna, Dwight, że twoja żona słyszała w wiadomościach o naszym przymusowym lądowaniu i o tym, że jesteśmy tu bezpieczni. Wie, że teraz nie ma możliwości skontaktowania się z tobą. Jutro, jak już wiesz, powinny pojawić się tu jakieś osoby z zewnątrz. Postaramy się przekazać przez nich wiadomość dla twojej żony.

Dwight odszedł, ale Dolores nadal nie odstępowała jej ani na krok.

- Jane! Co z moim łóżkiem?

Nie wypadało dłużej zbywać starszej pani. Jane dała jej ręką znak i obie weszły do wnęki zastawionej automatami do gry. Było to idealne miejsce na rozmowę w cztery oczy.

- Delores, doskonale rozumiem, że jesteś niezadowolona. Tyle wycierpiałaś, a teraz okazuje się, że połówkę przydzielono nie tobie, lecz twojej przyjaciółce Joell. Z drugiej jednak strony tak sobie myślę, że kto wie, czy na tym nie skorzystasz. Połówki są wąskie, twarde, a ty z ubrań, koców i poduszek możesz sobie zrobić całkiem wygodne legowisko. W rezultacie będzie

ci o wiele wygodniej niż twojej przyjaciółce. Ale nie będziemy jej o tym mówić, prawda?

- Dobrze. Nie powiem. Ale co z moim hiddenitem, którego mi ukradła?

- No cóż... To sprawa poważna. - Jane zrobiła odpowiednio posępną minę. - Sądzę jednak, że lepiej nie rozgłaszać tej sprawy, bo wtedy wiele osób może nabrać apetytu na ten kamień i w ogóle go nie odzyskasz. A Joella wcześniej czy później ci go odda. Mam takie przeczucie. Odda ci, a ty pomożesz mu odzyskać moc. Wiadomo, przez tydzień trzeba go trzymać w soli morskiej...

Delores ze zdumienia aż opadła szczęką.

- Jane! Znasz się na tym?!

- Oczywiście!

- Och, Jane! Jesteś wspaniała. Całkiem inna niż ta hołota, której tutaj nie brakuje.

- Dziękuję, Delores, miło to słyszeć...

Jane kątem oka zauważyła Hanka, dosłownie kilka kroków dalej. Ręce oparł na biodrach, wyraz twarzy pod tytułem: „Długo jeszcze będziesz tam gadać?”

- Przepraszam, Delores, ale muszę w czymś pomóc pułkownikowi White'owi.

- Ależ oczywiście, już nie przeszkadzam.

Gdy starsza pani odeszła, Jane niepewnie spojrzała na Hanka. Prawdopodobnie podsłuchał całą rozmowę i teraz uważał, że jej też brakuje piątej klepki. A przecież ta jej wiedza brała się stąd, że wśród znajomych miała kilku wyznawców New Age.

- Hank! To ty zrobiłeś ze mnie biuro skarg i zażaleń! Robię, co mogę. Staram się, żebyś najbardziej uciążliwych pasażerów miał z głowy. Tej kobiecie musiałam coś powiedzieć, choć daleka jestem od uwierzenia w czarodziejską moc minerałów. Ona jest kompletnie roztrzęsiona, jak zresztą większość ludzi...

Zamilkła, bo Hank złapał ją za rękę. Oczywiście nie miała nic przeciwko temu, choć tym niespodziewanym kontaktem fizycznym była bardzo zaskoczona. Tym bardziej że Hank splótł jej palce ze swoimi, jak to robią nastolatki. Jak kiedyś robili to oni. W sumie było więc to jakieś takie... sentymentalne, chociaż podobało jej się. I zaintrygowało, bo Hank ją dokądś prowadził. Mało tego, jednocześnie rozglądał się na boki, jakby nie chciał, żeby ktoś ich zauważył.

Podprowadził ją do jakichś drzwi, otworzył je, szybko

wprowadził do środka i oświadczył:

- Uważam, że uczciwie pracujesz na swój żołąd. Niestety, w tych warunkach wypłata jest niemożliwa, dlatego załoga podjęła jednomyślną decyzję, że należy ci się drink.

Jane zamrugała i wyłowiła z mroku resztę rozpusztników usadowionych na podłodze tuż pod oknem, za którym widać było płytę lotniska. Woda do picia była racjonowana, obecne więc tu osoby postanowiły jej nie marnować i uraczyć się czymś innym. Sądząc po intensywnym zapachu, już od jakiegoś czasu trwało opróżnianie mini buteleczek z alkoholem serwowanym przez linie lotnicze albo zapasów własnych.

Wszyscy byli skonani, w wygniecionych mundurach i w doskonałych humorach.

- Żyjemy - powiedział George, drugi pilot z drugiego samolotu, który również został zmuszony do awaryjnego lądowania. - Pomyśleliśmy więc, że należałoby to uczcić. Poza tym mamy za sobą ciężki dzień. Jutro wcale nie będzie lżej, dlatego zgodnie podjęliśmy uchwałę, że powinniśmy się wzmocnić i stuknąć szklaneczkami, ewentualnie papierowymi kubkami. A ty, Jane, robisz o wiele więcej niż do ciebie należy.

- Jak każdy - odparła skromne Jane.
- Czym chcesz się podtruć? - spytał Hank.
- Jakie są możliwości?
- Prawie nieograniczone, chyba że będziesz chciała mieszać z wodą, wtedy dostaniesz najwyżej trzydzieści mililitrów.

Roześmiała się.

- W takim razie szkocką proszę.
- Szkocką?- Ta dziewczyna musi mieć w sobie irlandzką krew - stwierdził Hank z wyraźną aprobatą.

Ktoś zapalił świeczkę i wstawił ją do szklanki na stole. Zbyt małe światełko, żeby rozproszyć mrok, ale jakie nastrojowe... Jane natychmiast przypomniały się z dzieciństwa posiedzenia przy ognisku. Krąg błyszczących oczu wyłaniający się z ciemności, i to cudowne poczucie wspólnoty...

Hank wręczył jej szkocką. Podniosła wysoko papierowy kubek, pozdrawiając wszystkich, i wypła spory łyk. Szkocka była niedobra.

Okropna. Paliła w gardle, niemniej Jane nagle, po raz pierwszy od wielu tygodni, może nawet miesięcy, poczuła się naprawdę rozluźniona. Jakie to wspaniałe! Usiadła wygodnie na podłodze, wdychając zapach

świeczki i alkoholu, zapach przedziwnie kojący. Przecież jest tak, jak powiedział ten pilot. Najważniejsze, że żyją.

Hank usiadł obok niej i biesiadnicy powrócili do poprzedniego tematu. Każdy z nich po kolei opowiadał, w czym przeszkodziło to przymusowe lądowanie.

Pilot z ich samolotu miał w perspektywie urlop. Cały miesiąc. Za dwa dni byłby już na Alasce, dokąd wyjeżdżał najchętniej. Kochał tam wszystko, niedźwiedzie i łososie, orły i wieloryby.

Inny znów mężczyzna, ktoś z obsługi naziemnej, opowiadał, że jego córeczka jutro kończy cztery lata. Ponieważ ojciec nie zjawi się na urodzinach, matka będzie musiała sama sobie poradzić z jedenastoma czterolatkami! A mała od dawna o niczym innym nie mówi, tylko o swoich urodzinach. W co się ubierze, czy będzie mogła przykleić sobie takie coś błyszczące na paluszki i czy dostanie w prezencie wymarzoną lalkę.

Wypowiedź drugiego pilota z ich samolotu była w całkiem innym stylu.

- Wszystkim wam wyraźnie śpieszy się do domu. A mnie, szczerze mówiąc, wcale nie. Właśnie zerwałem z babką, z którą byłem przez dwa lata. Nie lubię teraz wracać do pustego domu. Jeszcze się nie przyzwycza-

ilem. Czuję ulgę, że nic nam się nie stało. Latanie w taką pogodę to żadna przyjemność, a tym od prognoz powinno się dać niezły wycisk. Cieszę się jednak, że ten sympatyczny lot odbyłem razem z Chuckiem. A poza tym nie mam nic przeciwko temu, żeby potraktować to wszystko jak przygodę.

Wreszcie przyszła kolej na Hanka. Zanim zaczął mówić, na moment pochylił głowę. Jak kiedyś, pomyślała Jane. Hank robił tak zawsze, kiedy zmuszano go, żeby powiedział coś o sobie. Nie lubił tego, choć w dyskusjach celował i nie miał żadnych problemów z wypowiedzeniem się przed dużym audytorium.

- Leciałem do bazy Sił Powietrznych w Grissom - powiedział. - Mój przyjaciel awansował, chciałem być obecny na uroczystości. Wychowałem się tutaj, w Connecticut, ale od wielu lat mieszkam w Colorado Springs, gdzie jest Akademia Lotnicza, a także góra Pikes Peak. Mam dwóch dorosłych synów. Żonę straciłem kilka lat temu. Rak jajników. Było bardzo ciężko. I mnie, i moim chłopakom trudno się było potem pozbierać. Bo to jest jak tornado. Czasami nie uda ci się przed nim uciec, ale człowiek stara się wyjść z tego obronną ręką... - Przeszedł palcami ciemne włosy. - W każdym razie



tornado, które tu przeżyliśmy, w moim życiu prywatnym nie dokonało jakichś ogromnych spustoszeń. Z przyjacielem zawsze mogę spotkać się później, nie ma tragedii. Fakt, że znalazłem się tutaj, nie jest żadnym problemem, dopóki razem z innymi robię to, co należy robić, to znaczy zapewnić wszystkim możliwie jak najlepsze warunki przed udaniem się w dalszą drogę.

Czyli założył rodzinę. Dla Jane nie była to oczywiście żadna niespodzianka. Wszyscy jej znajomi co najmniej raz przysięgali komuś dożgonną miłość. Hank na pewno bardzo kochał swoją żonę i bardzo kocha synów. Zbudował sobie życie, które dla niego naprawdę coś znaczyło.

A tamtego lata, dawno temu, lata z Beach Boysami, łąził za nią jak zakochany kundel. Wydawało się, że niczego więcej od życia nie chce, żadnej kariery, żadnych planów życiowych. Chciał tylko jej. Jane.

Ona też go chciała. Hormony zadziałały, jej rodzice jednak zdążyli już jej wpoić, że tego rodzaju uniesienia, choć bardzo przyjemne, niewiele mają wspólnego z prawdziwym życiem. Dlatego jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej miała gotowy plan swojej przyszłości, oparty na ambicji, de-

terminacji i dyscyplinie. Hank tym planem nie został objęty, dlatego zrezygnowała z niego. Wyrzuciła jak starą gazetę, bez odrobiny żalu, całkowicie pewna, że musi to zrobić.

Ale teraz... tyle lat później... Nie, wcale nie zmieniła zadania co do słuszności swojego postępowania. Tylko po prostu...

Po prostu zachciało jej się być znów tamtą Superlaską. Znów poczuć się młoda, pełna zapału i bardzo pewna siebie. I przede wszystkim - żeby znów ktoś jej chciał. Bardzo chciał, najbardziej ze wszystkiego...

- Jane? - Głos pilota sprowadził ją z powrotem na ziemię. -Twoja kolej. Dokąd leciałaś tym samolotem?

- Ja? A więc... Jestem prawnikiem. Zajmuję się prawem zobowiązań. W zeszłym roku zostałam współudziałowcem firmy, w której pracuję od dziewięciu lat. Jestem rozwiedziona. Troje dzieci. Dwóch synów, jeden w Seattle, drugi na Alasce. Najmłodsza Angel uczy się jeszcze w college'u. Teraz spędza wakacje w Europie w ramach międzynarodowej wymiany studentów. Mieszkam w Branbury, w stanie Connecticut...

Była świadoma, że przekazuje bardzo powierzchowne informacje, z których można wywnioskować, że jej życie

jest bardzo szczęśliwe i pełne sukcesów. Taką powierzchowną informację zawsze z chęcią przekazywała innym. Każdy jednak z tych ludzi powiedział coś bardzo osobistego. Tego samego oczekiwali od niej i nie chciała ich zawieść. Najpewniej nigdy w życiu już się z sobą nie spotkają, czyli ujawnienie czegoś bardziej osobistego nie było wielkim ryzykiem.

RS

A jednak... wcale nie było jej łatwo sformułować jakieś słowa. W gardle nagle zrobiło się dziwnie sucho. Dlatego tylko przełykała i przełykała...

W końcu wydusiła z siebie:

- Szczerze mówiąc, wcale nie tragizuję, że muszę tutaj jakiś czas zostać. Ludzi spotykają większe nieszczęścia. - Uśmiechnęła się, czując, że jej uśmiech jest wymuszony, bardzo nieszczerzy. Nikt się nie odzywał. Odczekała chwilę, potem nagle zerwała się na równe nogi, jakby ktoś pod nią rozpałił ognisko. - Dzięki, że pamiętaliście o mnie. Potrzebowałam tego drinka. A teraz przepraszam, przypomniałam sobie, że obiecałam pewnej starszej pani pomóc w robieniu legowiska.

Uciekła, po drodze omal nie wywróciła pustego kosza. Drzwi zdołała otworzyć dopiero za drugim razem. W końcu wydostała się stamtąd i znów znalazła się w długim, szerokim holu terminalu, gdzie panowały prawie nieprzeniknione ciemności, tylko na tle okien majaczyły sylwetki: dwóch mężczyzn zajętych rozmową, przytulona do siebie para, może małżeństwo. W całym holu panował spokój. Ludzie integrowali się, starali trzymać się razem, tworzyły się małe wspólnoty. Teraz jednak prawie wszyscy starali się zasnąć.

Ale nie ona. Jej serce biło głośniejsze niż hałaśliwy werbel.

Czuła się głupio, po prostu jak skończona idiotka, a do tego nie była przyzwyczajona. Także do jeszcze jednego uczucia, zresztą bardzo przygnębiającego. Dojmującej samotności. Miała wrażenie, jakby w całym terminale była tylko jedna osoba, sama jak palec Jane Whitcomb.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Hank pchnął drzwi terminalu. Była czwarta rano i słońce dopiero nieśmiało zaczęło wychylać się na horyzoncie, niebo jednak już pojaśniało, przybierając kolor perłowszary. Chmury nadal były w ruchu, jakby nie mogły zapomnieć gwałtownych wichrów z poprzedniego dnia. Było chłodno, cudownie świeżo i chłodno. Wreszcie człowiek miał czym oddychać.

Spojrzenie Hanka przemknęło dookoła. Lotnisko było jego drugim domem, nietrudno mu było zorientować się, w jakim stanie są urządzenia, dzięki którym to wszystko może funkcjonować normalnie. Samoloty widział tylko dwa. Pozostałe przed przybyciem tornada wprowadzono do hangarów, ciężarówki i cysterny umocowano. Wieża kontrolna - znał już ją dobrze, poprzedniego dnia spędził

tam kilka godzin - była w dobrym stanie.

Wiatr od strony prowizorycznej garkuchni niósł zapach mięsnej zupy, takiej samej, jaką jedli wczoraj. Kolejne jej warianty będą zapełniać im żołądki podczas kilku następnych posiłków. Wszystkie zamrażarki w okolicy były nieczynne z powodu braku prądu, a mięso wołowe było najdroższym z produktów ulegających szybkiemu zepsuciu, dlatego należało je zjeść. Garnki z zupą trzymano stale na ogniu, a pasażerowie zgłaszali się na ochotnika do pilnowania ognia. Teraz też dyżurował jeden z ochotników i na powitanie skinął Hankowi wielką chochlą.

Oprócz nich był tam jeszcze ktoś. Osoba niewysoka, drobna. Siedziała pod ścianą. Kolana podciągnięte, jasna potargana głowa oparta o beton.

- Superlasko, hej... - odezwał się półgłosem, żeby jej nie przestraszyć.

Ale ona wcale nie drzemała. Kiedy usłyszała jego głos, natychmiast odwróciła się ku niemu.

- Nie możesz zasnąć? - spytał.

- Chciałabym, ale trochę dziwnie spać z setką obcych ludzi...

- Fakt.

Usiadł obok, przybierając dokładnie taką samą pozę. Kolana podciągnięte, plecy oparte o chłodną ścianę.

- A może czymś się zdenerwowałaś?- Jakiś problem, Jane?

- Skąd! Wszyscy są wspaniali. Tylu ludzi rwie się do pomocy.

- Przede wszystkim ty.

- Po prostu nie potrafię siedzieć beczynnie. Ty zresztą też, poza tym zostałeś wybrany na szefa tego bałaganu.

- Bardziej przez uprzejmość. W miejscach publicznych, takich jak lotniska, w sytuacjach kryzysowych rozdziela się role według sztywnych reguł. Tutaj raczej nie ma takiej potrzeby. Zrobili mnie szefem, bo jestem pułkownikiem, a obaj piloci są w randze kapitana.

- A... rozumiem. Pułkownik jest o wiele wyżej niż kapitan!

Uśmiechnął się. Jak widać, Jane nie miała pojęcia o stopniach wojskowych, ale w końcu nie musiała się na tym znać. Poza tym on miał już dość wałkowania spraw przyziemnych.

- Gotów jestem zabić za filiżankę dobrej kawy - mruknął.



- Ja też... - Przymknęła oczy, skupiając się na identycznej wizji. - Najlepiej o smaku orzechów laskowych - powiedziała tęsknie po chwili. - Bez cukru, bez śmietanki, świeżo zaparzona...

- Przestań! Czuję w ustach jej smak! Roześmiała się. Po raz pierwszy w jego obecności zrobiła to szczerze, spontanicznie.

Wtedy przypomniał sobie jej śmiech, przypomniał sobie całą Jane. Jaka była tamtego lata, dawno temu.

Spojrzał jej prosto w oczy. Przez dłuższą chwilę milczeli zapatrzeni w siebie. Dwoje ludzi otulonych poranną mgłą. W tym momencie Jane wydawała mu się jedyną realną istotą na ziemi.

Jane o zachwycająco błękitnych oczach, skórze gładkiej i miękkiej jak płatki kwiatów, o ładnym owalu twarzy, prostym cienkim nosku, cienkich łukach brwi. Cała niewielka, drobna, pozornie krucha, a taka dynamiczna. Tyle siły w niewielkim opakowaniu.

Nagle pamięć wróciła. Pamiętał wszystko, jakby było to wczoraj. Jane zawsze pełna zapału do działania, do dokonywania zmian. Czegokolwiek by się nie podjęła, robiła to całym sercem.

- Dokąd leciałaś? - spytał cicho.

- Tutaj.
- Tutaj? Naprawdę? Do Kokomo w stanie Indiana ? Westchnęła przesadnie.
- Do Kokomo. Niestety, nie w stanie Indiana.

Chciałam wylądować na Kajmanach, na jednej z wysp, którą nazywają Kokomo. Tej ze starej piosenki zespołu Beach Boys. Moja asystentka, robiąc rezerwację, była przekonana, że chodzi o Kokomo w stanie Indiana, no i znalazłam się tutaj.

- Zabawne. A ty wymarzyłaś sobie wakacje na Karaibach!
- Tak... Chociaż nie do końca. Pod wpływem tej starej piosenki zachciało mi się pojechać właśnie tam. Poczucie się tak, jakbym znowu miała siedemnaście lat, być szczęśliwa jak wtedy. Znowu na sto procent wiedzieć co dobre, a co złe. Znowu mieć tę pewność, że mogę zdobyć wszystko, co w życiu jest ważne. Jeśli tylko się postaram. Wiem, że brzmi to śmiesznie, ale wtedy tak było naprawdę. Takie radosne lata, a teraz... Nie, jakoś nie potrafię ci tego wszystkiego wytłumaczyć.

Może i nie, ale jedno już wiedział. Wyczytał to z oczu Jane, z ułożenia jej ciała. Była nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa.

- Powiedziałaś, że jesteś prawniczką. O ile sobie przypominam, zawsze chciałaś studiować prawo...

- Tak. Całe życie podążałam dokładnie za tym, czego chciałam. Udało się. Osiągnęłam wszystko, co zaplanowałam, wydawałoby się więc, że powinnam czuć ogromną satysfakcję. A wcale tak nie jest. Mam poczucie, jakbym szła w złym, fałszywie obranym kierunku. Od bardzo dawna, może od tamtych wakacji, ostatnich wakacji w szkole średniej. Hank... – Odwróciła się i zajrzała mu głęboko w oczy. – Naprawdę mnie nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Podczas tamtych wakacji dużo przebywaliśmy z sobą, poznaliśmy się bliżej...

Jane energicznie potrząsnęła głową.

- Niewiele pamiętasz. Zapomniałaś, jak było naprawdę. Byłam wredną, bezmyślną egoistką. Zraniłam cię, ale ponieważ los znów nas zetknął z sobą, chcę to wykorzystać. Powiedzieć, że bardzo mi przykro z tego powodu, Hank.

W pierwszym odruchu chciał skwitować to krótkim: „Nie ma sprawy, zapomnijmy o tym”, jednak milczał. Czuł przecież, że choć jego pamięć zawodzi, jej pamięć o tym epizodzie jest bardzo żywa.

Jak to wtedy było? Tamtego lata? Pamiętał, że był w Jane zakochany aż do bólu, tyle że ona wszystkim chłopakom z klasy zawróciła w głowie. Była klasową boginią, a on po prostu jednym z tych chłopaków.

We wszystko angażowała się całym sercem. Sprawy klasowe i problemy ogólnoswiatowe, nauka i muzyka. Była przewodniczącą komitetu organizacyjnego szkolnego balu i szefową drużyny cheerleaderek, jednocześnie wcale nie wzdragała się przed pomocą przy sprzątaniu po meczu futbolowym. Przeciwnie, potrafiła do tego zachęcić innych. Była urocza, skora do śmiechu. Lubiana przez wszystkich. A chłopaki... chłopaki po prostu leżeli przed nią plackiem.

Trochę mała jak na boginię seksu, ale może właśnie jej niewielkie rozmiary budziły w nich instynkty opiekuńcze. Urocza, bardzo kobieca blondynka. Rodzice mieli kupę kasy, ale ona z tego powodu nigdy nie zdzieriała nosa.

Zabrał ją na bal kotylionowy. Sam bal, białe smokingi i tak dalej, wcale go nie pociągał, ale miał iść tam z Superlaską. Chociaż właściwie nie była to randka, Superlaską potrzebowała przede wszystkim eskorty. Ojciec Hanka i ojciec Jane zawiązali spisek, oczywiście nie jak

rodzice ze średniowiecza, którzy zmuszali swoje dzieci do małżeństwa. Jednak tak zmanipulowali swoimi lato-  
roślami, żeby na ten bal poszły razem. Hank przedtem  
kilkakrotnie wychodził razem z Jane, ale to naprawdę nie  
znaczyło nic. Jane umawiała się z wieloma chłopakami,  
żadnego z nich nie traktując na serio. Po prostu kiedy  
chciała dokądś się wybrać, umawiała się z tym, kto aku-  
rat jej się nawinął.

Pamiętał ten bal. Poszła razem z nim, ale wyszła z  
kimś innym.

Jasne, że nie był tym zachwycony, ale nie znalazł się  
też na krawędzi rozpacz. Jane wyszła z chłopakiem,  
który bardziej do niej pasował. Po prostu też duża kasa,  
no i ten chłopak wybierał się do jednego z najlepszych  
college'ow w Stanach. Tak jak ona. Dlatego kiedy kazała  
mu się zmywać, nie odczuł tego jako cios, lecz jak coś,  
czego raczej należało się spodziewać.

Nigdy nie dawała mu do zrozumienia, że znaczy dla  
niej coś więcej. Nigdy, dlatego nie robił sobie żadnych  
nadziei. Po prostu był zadowolony, że pójdą razem na  
bal i wreszcie będzie miał okazję ją objąć. W tańcu.

- Chodzi ci o tamten bal, Jane? O to, że wyszłaś z  
innym chłopakiem?

- Między innymi.

- Między innymi? - Był coraz bardziej zdezorientowany.

- Tak. Bo jest jeszcze coś, za co też powinnam cię przeprosić. Przede wszystkim za to.

Nagle nachyliła się ku niemu i...

Nie. Nie mogła go bardziej zaskoczyć.

Całe lata dzieliły go od tamtego niedoświadczonego małolata, który aż wywalał język z tęsknoty za dziewczyną. W tym czasie dojrzał, ożenił się. Z żoną połączyła go gorąca miłość.

Więc jak to jest? Na pewno teraz jakaś chemia zadziałała, Ale... pocałunek ?

Byli na lotnisku w Kokomo w stanie Indiana. Słońce już wzeszło, ujawniając, jakich zniszczeń dokonało tornado. Robiło się gorąco. Siedzieli na twardym asfalcie...

Nie. W całej tej scenerii nie było cienia romantyzmu.

Także w jej pocałunku. Najpierw przekreśliła się tak jakoś, podsunęła do niego na kolanach. Dla utrzymania równowagi oparła ręce na jego ramionach. Zamknęła oczy i zbliżyła usta do jego ust.

Pocałunek trochę niewydarzony, głupawy, a nade wszystko krępujący.

Mimo to jeszcze bardziej ożywił jego pamięć. Przypomniał sobie. Zapach tamtej Jane, pochylenie głowy, smak jej ust. Wróciło wspomnienie, które, jak się okazało, przechowywał niczym skarb w banku pamięci.

Wróciło na sekundę, może dwie. Tyle, ile trwał ten pocałunek, po czym Jane odsunęła się i nie odrywając od niego oczu, wyrzuciła z siebie gniewnie:

- A niech to! Przepraszam. Bardzo przepraszam, wygłupiłam się.

Usiadła na piętach, nadal w niego wpatrzona. Dziwne spojrzenie. Determinacja plus trochę zadumy.

On też patrzył na nią, jednak już inaczej niż przedtem. Nigdy nie bał się latać na F-16, ale to, co ona teraz zrobiła...

- Nie musisz mnie przepraszać – powiedział nie swoim głosem. - Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłaś, ale...

- Powiem ci. - Mówiła niby cicho, a jednocześnie jakoś tak prowokująco. - Już ci wspomniałam, że w moim życiu nastąpił taki moment, kiedy nagle wszystko zaczęło iść w niewłaściwym kierunku, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy. To było tamtego lata, kiedy zabrałeś mnie na bal w klubie. Pamiętam, jak mnie wte-

dy całowałaś. Było cudownie, ale chemia była wtedy dla mnie kompletnie bez znaczenia...

Nie, za dużo już tych mocnych wrażeń. Brak snu, brak śniadania, potem ten pseudo pocałunek, a teraz tak bardzo osobiste zwierzenia.

- Superlasko... - powiedział cicho, by powstrzymać ją od dalszych wyjaśnień. Kto wie, może ona naprawdę żałowała, że nie związała się na poważnie z facetem, który teraz właściwie jest dla niej całkiem obcy?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie żałuję, że ciebie teraz pocałowałam, Hank. Przekonałam się, że ta chemia minęła bezpowrotnie. W tym pocałunku nie było nic.

Nic?

A to zakłuło, i to bardzo nieprzyjemnie. Cios w ego... Oczywiście, że wołałby, aby poczuła do niego niebываły pociąg. Każdy normalny facet zdecydowanie preferowałby ten wariant.

Poza tym co niby miała poczuć podczas takiego pocałunku? Kiedy na dwie sekundy przyłożyła usta do jego ust i finto?

Co nie znaczy, że króciutki pocałunek wypadł blado.



Nie, ale stanowczo poświęciła mu za mało czasu.

Proszę bardzo! Jeśli mamy teraz zanurzać się we wspomnieniach, on też nie będzie sobie czegokolwiek odmawiał.

Tym razem to on się nachyli. Powolutku, żadnych gwałtownych ruchów. Objął ją delikatnie, jego usta spoczęły na jej ustach. Ale nie w jakimś płaskim, agresywnym całusku, tylko w pocałunku autentycznym. Opanował jej usta całkowicie i dogłębnie.

Kiedy zaczynał, ręka Jane zawisła w powietrzu, potem ta ręka zawędrowała w okolicy jego talii.

Kiedy przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach, jej plecy były sztywne. Teraz wygięły się kusząco wparte w jego usłużne ramię.

Kiedy na początku mocno przytulił ją do siebie, jej oczy były szeroko otwarte. Teraz powieki opadły, jasne rzęsy rzuciły cienie na policzki zarumienione z pożądania.

I żarliwie odpowiadała na pocałunek, który budził apetyt na więcej uczucia, więcej ryzyka. Pocałunek, w którym odnaleźli się oboje.

Jednocześnie Hank dość mętnie uświadamiał sobie, że z powrotem zmienia się w tamtego nieopanowanego

małolata. On, który nigdy nie tracił zimnej krwi zarówno w życiu prywatnym, jaki zawodowym. Silny charakter, opanowanie - dzięki temu potrafił przetrwać każdy kryzys.

Teraz czuł, że opanowanie znikło.

Jane pierwsza poderwała głowę. Spojrzała mu prosto w oczy, rozchyliła wargi, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i bardzo szybko, jakby nagle wpadła w panikę, zsunęła się z jego kolan. Wstała. Spojrzała w górę, w niebo, potem w dół, na płytę lotniska, teraz jasną w blasku słońca. I potrząsnęła bezradnie głową. Jakby w tym otaczającym ją świecie nie mogła doszukać się żadnego sensu.

Mocno niepewnym krokiem doszła do drzwi. Zanim je otworzyła, musiała szarpnąć dwa razy.

Weszła do środka. Hank wstał i przeczesał ręką włosy. Fakt, żadnego sensu. W tym, co zrobiła ona. I co zrobił on.

Kiedyś był zakochany w Superlasce jak wariat, nigdy go jednak nie onieśmiałała. Jego onieśmiał tylko Bóg i wojna, lecz nie ludzie. Ludzie stanowili tajemnicę, która go frapowała.

A ta obecna Superlaska... Na jego mapie emocjonal-

nej ta kobieta była jeszcze białą, niezbadaną plamą.

Poza tym na takie bzdury był już za stary.

Chociaż... chociaż jego serce waliło jak silnik na zwolnionych obrotach.

Ochotnik, który pilnował ogromnych garnków z zupą, obudził się. Wstał, pomachał do niego ręką i o ile Hanka wzrok nie mylił, także mrugnął znacząco.

Całkiem możliwe, że widział ich pocałunek.

Całkiem możliwe, że pomyślał: „Staremu Hankowi nagle się zachciało”.

Do diabła! Zdaje się, że tornado to pestka w porównaniu z kryzysem o imieniu Jane!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Jane mocno niepewnym krokiem wkraczała do terminalu, natychmiast poczuła całą gamę zapachów. Rozpoczął się drugi dzień bez klimatyzacji i pryszniców w warunkach niemal tropikalnych. Jak na razie dało się jeszcze jakoś tu wytrzymać, ale co będzie później? Koniecznie trzeba będzie porządnie wywietrzyć...

Przyjemne myśli pozwoliły choć na jakiś czas usunąć z głowy Hanka.

Przykucnęła obok swojego legowiska niedaleko drzwi i zaczęła szperać w torbie. Wyjęła czyste ubranie, przybory toaletowe i zaczęła doprowadzać się do porządku. Płatkami do demakijażu odświeżyła twarz, potem dezodorant. Na koniec przykryła się cienkim kocem i przebrała się. Żółte szorty, do tego wściekle żółty shirt z nadrukiem. Jedno z niewielu ubrań, które wrzuciła do tor-

by.

Przezesłała szczotką włosy, wsunęła bosc stopy w klapki i znów zaczęła przeszukiwać torbę. A w głowie znów niestety Hank. Przy okazji przemknęła nawet myśl, że tutaj na mały romansik raczej nie ma warunków. Nawet na jedną wspólną noc. Nawet na szybki numerek, przecież nawet odrobina prywatności była na wagę złota.

Poza tym wcale nie była za tego rodzaju wybrykami.

Jeszcze chwila i już dopadły do niej co najmniej trzy osoby. Pierwszą z nich była siwowłosa entuzjastka New Age.

- Coś się stało, Delores?

- Tak! Tym razem ukradziono mi celestyn.

Rano, kiedy wszyscy zaczęli się budzić i wstawać, zrobiło się potworne zamieszanie. Ktoś wtedy musiał dobrać się do mojej walizki. A ja muszę odzyskać mój celestyn. Należał jeszcze do mojej prababki! Złodziej nie będzie miał z niego żadnego pożytku, ten minerał mogą sobie przekazywać tylko osoby spokrewnione. Poza tym tylko spod znaku Koziorożca i Bliźniąt.

- W twoim przypadku oczywiście tak jest?

- Oczywiście!

- Jadłaś śniadanie?

- Nie. Ze zdenerwowania nie mogłam nic przełknąć.
- W takim razie przede wszystkim idziemy tam, gdzie trzymasz swoje rzeczy. Weźmiesz lekarstwa, potem pójdziemy na dwór i koniecznie coś zjesz.
- Ale ja...
- Po drodze opowiesz mi wszystko szczegółowo.

Idziemy, Delores.

Starsza pani natychmiast ochoczo zabrała się do udzielania dodatkowych wyjaśnień.

- Celestyn działa na czakre gardła, ale najistotniejsze, że przywraca człowiekowi równo? wagę duchową, a po tych tornadach bardzo trudno jest się uspokoić...

- Oczywiście. I ten celestyn jest biało-niebieski, prawda?

- Tak, kochanie. I to minerał, nie tylko kamień, dlatego jest ciemniejszy, dzięki czemu ma większą moc.

- A jego brzegi powinny być zawsze zwrócone w stronę nieba, bo inaczej nie działa, prawda?- powiedziała Jane i została za to nagrodzona głębokim westchnieniem ulgi ze strony eterycznej towarzyszkii podróży przez hol terminalu.

- Oczywiście! Och, Jane, jesteś kochana. Ty jedna nie traktujesz mnie jak starej wariatki.

- Oczywiście, że nie!

Serdecznie uściskała starszą panią, pomogła odnaleźć lekarstwa i po chwili mogła już zająć się innymi sprawami.

Ludzie byli coraz bardziej zdenerwowani. Domagali się możliwości skontaktowania z najbliższymi, pytali bez przerwy, kiedy lotnisko znów zacznie funkcjonować, kiedy w końcu stąd się wydostaną. Jedzenia, co prawda, było w bród, zaczynało jednak brakować naczyń, także plastikowych. Czyste sztuce były na wagę złota.

Razem z mężczyzną o imieniu Ralph zastawiła krzesłem szeroko otwarte drzwi, żeby do holu wpuścić jak najwięcej świeżego powietrza. Potem Ralph został wysłany na misję specjalną. Miał pogadać z ludźmi, którzy zajęli miejsca niedaleko innych drzwi, i poprosić o przesunięcie legowisk kawałek dalej, żeby nie blokowały drogi.

Jakiemuś panu złamała się oprawka okularów. Jane przez dobrą chwilę walczyła z gumką, by wzmocnić oprawkę. Potem komuś potrzebna była maść na bąble. Kapitan chciał zebrać ochotników do sprzątnięcia płyty lotniska i prosił Jane, żeby skrzyknęła ludzi. Mała grupka wyszła na zewnątrz, żeby spenetrować najbliższą okolicę

w nadziei, że znajdą jakieś środki transportu albo źródło energii elektrycznej, a także sprawdzić, czy w okolicy ktoś nie potrzebuje pomocy.

Ani chwili wolnej, ale Jane i tak miała poczucie, że robi za mało. Około drugiej wyszła na dwór, żeby zorganizować sobie lunch. Blask słońca ujawnił, że na rękach miała dwie świeże szramy, a kolano zdobił siniak imponujących rozmiarów.

- A kto ciebie tak urządził?

Oczywiście - Hank. Aż zadrzała. Tego dnia spotkała go po raz pierwszy. Niestety, jej reakcja była gwałtowna, choć powtarzała sobie w duchu, że całe to zdarzenie o świecie należy puścić w niepamięć. Objęcia Hanka, pocałunki, wszystko, co wywarło na niej piorunujące wrażenie. Niestety, mimo że starała się swoją pamięć maksymalnie skrócić, na widok Hanka zatrzęsała się jak galareta.

- Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło - odparła, spoglądając na szramy i siniaki. – Przecież niczego takiego nie robiłam...

- Niczego?- Opinia wszystkich jest zgodna.

Tylko dzięki tobie nie doszło do wybuchu ludzkich emocji.



- Nie przesadzaj. Każdy ma jakiś wkład.
- Oprócz małej grupki wiecznie niezadowolonych, ale tego się nie uniknie.

Trzymał w ręku miseczkę, Jane też. Zawartość miseczek nie była niespodzianką. Nadal zupa na mięsie, tym razem z większą ilością fasoli i kukurydzy..

- Muszę przyznać, że w kwestii jedzenia wołałabym mieć większy wybór - oświadczyła, spoglądając w swoją miseczkę.

Hank pokiwał smętnie głową i zaprezentował dwie butelki z ciepłą wodą sodową.

- Niestety, zaczyna też brakować czegoś sensownego do picia.
- Większość ludzi traktuje to jednak jak. swoisty piknik, Hank. Postaraj się i ty tak na to spojrzeć.
- Postaram się, ale kiedy to wszystko już się skończy, chcę drinka z lodem! A na zupę już nigdy nawet nie spojrzę.

Świetnie. Rozmowa lekka i przyjemna, jakby o świecie nic między nimi nie zaszło. Zadowolona Jane przykucnęła w cieniu, bliżej Hanka.

- Spójrz, cała płyta lotniska już uprzątnięta! Jestem pełna podziwu.

Hank pokiwał głową.

- Tak. Nie wiadomo, ile czasu będą trwały naprawy, ale jestem pewien, że już wkrótce lotnisko zacznie funkcjonować, z tym że prądu prawdopodobnie nie będzie jeszcze przez kilka dni. Udało nam się skomunikować z Siłami Powietrznymi. Całe miasto i okolice zostały spuszczone przez tornada. Naprawianie szkód będzie trwało długo, ale służby ratownicze już działają. Siły Powietrzne chcą podesłać do nas ciężarówkę, może nawet już jutro.

Kiedy podniósł łyżkę do ust, Jane zauważyła na jego ramieniu strużkę krwi.

- Hank! A ciębie kto tak urządził ?

- To? Ach, nic. Mój łokieć trochę ściał się ze szczypcami. Szczypcy wygrały.

- Trzeba udzielić ci pierwszej pomocy. Kto wie, czy nie będzie konieczne założenie kilku szwów.

- I kto to mówi? Pewna podrapana i posiniaczona dama. A ten pęcherz na ręku musi porządnie boleć.

Spojrzała na swoje dłonie. Jane traktowała je zdecydowanie po kobiecemu - manikiur, dobre kremy, ładne paznokcie. Tak przynajmniej było jeszcze dwa dni temu. A teraz, rzecz dziwna, poczuła się dumna, że na prawej

dłoni ma pęcherz.

- Wcale nie bolał. Nawet go nie zauważyłam, dopóki o nim nie powiedziałaś.

- Jasne! Wszystko moja wina – zażartował Hank. -  
Przeze mnie musisz harować jak wół.

- A tak!

Uśmiechnęła się szeroko i ochoczo zabrała się do jedzenia. Ona, która na lunch najchętniej zjadała sushi i sałatkę z krewetek, mając przy tym do dyspozycji śnieżnobiałą wykrochmaloną serwetkę, teraz zażerała się obrzydliwą zupą z miski. Jak wygłodniała świnia.

- A poza tym, szanowny panie - dodała – to panu powinno się jak najszybciej opatrzyć ramię, jak tylko skończymy ten smakowity lunch.

- To pani, szanowna pani, powinna mieć jak najszybciej tu i ówdzie założone opatrunki!

- Przede wszystkim trzeba rozstrzygnąć spór, które z nas bardziej się rządzi!

- Przede wszystkim to wiadomo już, że ty!

- Oczywiście! Przecież jestem kobietą!

Przez dobrą chwilę docinali sobie i żartowali jak para małolatów. W tym czasie opróżnili swoje miseczki. Smakowity lunch został zjedzony i Jane, zgodnie ze

swoją obietnicą, zaprowadziła Hanka do biura terminalu, gdzie znajdowała się podręczna apteczka.

Dwie pasażerki, z zawodu pielęgniarce, na zmianę dyżurowały przy apteczce. Teraz jednak, kiedy Jane zajrzała do biura, nie było tam nikogo. Dlatego też ten ktoś, kto opatrywał Hankowi ranę, na pewno nie był chirurgiem mózgu.

- Au!

- Przepraszam. Nie mam wyboru. Nie mamy tu starego pocziwego mydła, wody, ogólnie rzecz biorąc, warunki sanitarne są dalekie od tych, jakie są u Ritza. Dlatego musiałam potraktować to alkoholem. Poza tym uważam, że przydałby ci się zastrzyk przeciwțęczowy.

- Tylko nie to!

Jane roześmiała się.

- Bez obaw, panie pułkowniku, nie mamy tu takich zastrzyków. A swoją drogą, jedno mnie dziwi. Jak taki tchórz mógł dochrapać się tak wysokiego stopnia!

- Bez problemu.

- Dziwne... No! Rana oczyszczona, najgorsze mamy za sobą. Teraz tylko antybiotyki i mocno owiniemy bandażem. Szkoda, że nie można założyć ci kilku szwów. Mam jednak nadzieję, że jak mocno owinie się banda-

żem, rana ładnie się zasklepi.

Zakładanie opatrunku nie było dla niej problemem, za to z czym innym nie bardzo dawała sobie radę. Z bliskością Hanka, ciepłem jego ciała. Ogólnie rzecz biorąc, czuła zwyczajne, ordynarne pożądanie. Kiedy po raz ostatni ogarnęła ją taka burza hormonów?

Śmieszne i głupie, za to całkiem przyjemne.

- Teraz moja kolej - oznajmił Hank. - Obejrzymy sobie ten wielki bąbel. Pokaż no.

- Au!

- No proszę. Jak to mogło się stać, że taki tchórz został zimną, wyrachowaną prawniczką ?

- Bez problemu.

- Dziwne... Aha, wszystko wskazuje na to, że będziemy tu uziemieni jeszcze przez maksimum jedną do-  
bę.

- Co? Przepraszam...

Nagła zmiana tematu zaskoczyła ją. Poderwała głowę. Hank nakładał właśnie na pęcherz żel. Trudno było teraz przestać myśleć o wrednym pęcherzu ani przestać go czuć. Ale nie wypadało nie słuchać.

- Jesteśmy na początku listy, wkrótce nas stąd wy-  
ciągną. Baza Sił Powietrznych pomoże. Wczoraj dla

Gwardii Narodowej bezwzględnym priorytetem byli ludzie chorzy i bezradni, ale na jej liście nie zajmujemy dalekiej pozycji. Kokomo nie potrzebuje dodatkowych gości, których trzeba wyżywić i dać im dach nad głową. Najpóźniej jutro chcą się nas pozbyć. Przerzuć samolotem do Indianapolis. Możesz przekazać to innym, na pewno się ucieszą.

RS

- Jasne!

Oni tak. Bo ona jakoś nie skakała z radości. Niebawem wszystko się skończy. Spanie wśród gromady głośno chrapiących, pokasłujących obcych ludzi. Zaduch. Ciemności. Zupa na mięsie. Życie wróci do normy. Prysznic, umyta głowa, prawdziwe jedzenie; komputery, samochody...

- Tak, wszyscy będą zachwyceni - powiedziała. A w duszy szaro. Bo w tamtym normalnym życiu była wciąż zajęta jak jednoręki bandyta, przy którym nigdy nie brakuje graczy. A tutaj, w tym życiu nienormalnym, czuła się po prostu użyteczna. Czuła się dobrze, czuła się znów młoda.

- Ej, Superlasko!

Na policzku poczuła ciepłe palce Hanka.

- Hej... - powiedział ciepłutkim barytonem. - Co się dzieje? Co znaczą te łzy?

- Och, nic, nic. Coś mi wpadło do oka.

Co innego mogła powiedzieć? Gdyby wyznała prawdę, pomyślałby, że oszalała. Fakt, że z jej głową coś nie tak. Czy rzeczywiście coś tam się jej kołatało w głowie, że Hank mógłby stać się znów częścią jej życia? Może, ale to na pewno tylko pod wpływem tych pocałunków. I

dlatego, że po raz pierwszy od wielu lat znów poczuła się młoda. Z burzą hormonów, pełna zapału i radości życia. Po prostu szczęśliwą kobietą.

- Jane, proszę wyrzuć to z siebie. Mów. Co jest nie tak...

Nigdy w życiu. A ponieważ nadal, mimo wszystko, trwała w stadium niedojrzałości, zdecydowała się na ucieczkę i ukrycie się w jednym z pokoi biurowych na tyłach terminalu. Chwila samotności. Parę głębokich wdechów i puls zwolnił. Można znów rzucić się bliźnim na pożarcie.

Parli do niej szybciej niż pociski. Jedna para z zażaleniem, druga z prośbą o natychmiastowe rozstrzygnięcie sporu. Jedna z pasażerek przepadła jak kamień w wodę. Nikt nie wiedział, dokąd poszła. Poza tym należało rozpuścić wici, że służby ratownicze są już w drodze i dotrą tu prawdopodobnie jutro.

Kochała to. Problemy, zamieszanie. To, od czego ludzie zwykle uciekają. Prawdopodobnie dlatego pociągało ją prawo. Uwielbiała rozstrzygać spory, ustalać priorytety. Co jest dobre, a co jeszcze lepsze. Co złe, a co najgorsze.

Po południu, kiedy niosła na tacy drinki dla kilku in-



walidów w wózkach grających w cieniu w karty, dopadł do niej Brian, jeden z pracowników lotniska.

- Mam dla ciebie wiadomość, Jane. Od twoich dzieci. Bry, Lar i Angel. Zgadza się Dowiedzieli się z mediów o przymusowym lądowaniu. Nie chcieli blokować kanałów ratowniczych, ale martwią się o ciebie, więc skontaktowali się z Gwardią Narodową. Są szczęśliwi, że z tobą wszystko w porządku. Prosil, by przekazać, że cię kochają i jak tylko stąd się wydostaniesz, masz się odezwać.

Uśmiechnęła się.

- Mam wspaniałe dzieciaki.
- Na to wygląda.

Uspokoła się trochę. Wiadomości od dzieci zawsze wpływają na matkę kojąco, nawet jeśli te dzieci w znakomitej większości żyją już własnym życiem. Każdy kontakt z nimi przypominał, że mimo odległości kochają się nadal i tak będzie zawsze. Przypominał, że w jej życiu nie wszystko poszło źle.

Coś jednak w nim nie grało.

I trzeba było tornada, żeby to zauważyć.

Pod wieczór na płytę lotniska wjechała wielka, hałaśliwa ciężarówka, pomalowana w barwy ochronne.

Wszyscy natychmiast wylegli na dwór i zrobiła się atmosfera niemal jak na przyjęciu. Chłopcy z Gwardii dostarczyli i sprzęt, i leki do miejscowego szpitala. Nie przywieźli żadnych sensacji, tylko wiadomości, które dotarły tu już wcześniej. Drogi przejezdne, najpóźniej jutro po południu przyjadą autobusy, które przerzucą ich na lotnisko w Indianapolis. Przywieźli za to trochę rzeczy. Skrzynki z lodem, wodę, duży zapas plastikowych naczyń i sztućców, żeby jakoś przebrnęli jeszcze przez jeden dzień.

Czyli jutro wyjazd... Jane dwukrotnie przyłapała się na tym, że stara się odszukać w tłumie Hanka. Nietrudno było go zlokalizować, górował przecież wzrostem. Za każdym razem, kiedy go zobaczyła, odnosiła wrażenie, że Hank też szuka jej wzrokiem. Też chciał z nią pogadać, niestety nieustannie między nimi znajdowało się co najmniej kilkanaście osób, albo ona była w trakcie ważnej rozmowy lub w trakcie robienia czegoś, co bezwzględnie należało dokończyć. Kiedy w końcu mogła do niego podejść, Hank znikł już z pola widzenia.

Często wchodził albo wychodził z wieży kontrolnej. Wędrował po pasie startowym albo dołączał do ludzi,

którzy kończyli sprzątanie płyty lotniska. W sumie nic dziwnego, przecież tam było jego miejsce, tak jak miejsce Jane w terminalu lub w jego pobliżu, ponieważ tam skupiała się większość pasażerów. Zwłaszcza ci słabsi, niedomagający, którzy wymagali szczególnej opieki.

Zapadł zmierzch. Ciężarówka dawno odjechała, obiad dawno zjedzony. Jane wyszła na chwilę na dwór. Nieopodal zebrała się grupka pasażerów. Wyglądali komicznie, każdy z innej bajki. Starszy pan o krzaczastych brwiach, jedna z nastolatek, małżeństwo, które było w drodze do ukochanych wnuków i Rob, chłopak, który robił kursy przygotowawcze na studia, a teraz leciał na weekend do domu.

Wyglądali jak mała banda. Głowy brudne, ubrania wygniecione. Wyszli na dwór, bo w terminalu było duszno, a poza tym nie mieli nic lepszego do roboty. W innych warunkach nie zwróciliby w ogóle na siebie uwagi, teraz jednak coś ich łączyło.

Tornado. Przymusowe lądowanie. Wszyscy ocaleli.

Siwowłosy Carl był farmerem z tych okolic.

- Nie mogę uwierzyć, że tkwię tu dosłownie kilka kilometrów od domu - powiedział, potrząsając białą głową. - Moja Leah natychmiast mi to wygarnie, zanim

wpuści mnie do domu...

Wszyscy się roześmieli.

- A ja mam poczucie, jakbym nie korzystał z internetu całe lata - powiedział Rob. – Jeszcze w zeszłym tygodniu nie wyobrażałem sobie życia bez poczty elektronicznej, a to wcale, jak się okazuje, nie jest takie tragiczne.

- Ale to, co tu przeżyliśmy, to szok!- odezwała się piskliwym głosem Margie, jedna z kucharek ochotniczek. - Wszystko potem wydaje się całkiem inne.

- Przede wszystkim cieszymy się, że z całej tej przygody wyszliśmy cało i wracamy do domu - oznajmił Carl.

Grupka powoli topniała. Rob poszedł się przejść, Heather poszukać swojej koleżanki. Reszta wróciła do terminalu, by szykować się do spania.

Jane zamierzała zrobić to samo. Ale za chwilę. Oparła się o chłodną ścianę, przymknęła oczy i nie po raz pierwszy pomyślała z goryczą, że wszyscy nie mogą doczekać się powrotu do domu.

Wszyscy - tylko nie ona.

Co wcale nie znaczyło, że nie chciała wracać. Kochała swój dom, kochała swoje dzieci. Jakiś czas temu ko-

chała także swoją pracę, całe swoje życie. Wszystko, na co zapracowała.

Tak było kiedyś. Nie teraz. Niestety, nie doszła jeszcze, dlaczego. Jakim sposobem zmieniła się w jędzę. Dlaczego wszystko, czego kiedyś tak bardzo pragnęła, nie dawało żadnej satysfakcji.

- Superlasko?

Hank. Natychmiast poderwała głowę.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Hankiem, kiedy zobaczył samotną postać z opuszczoną głową, aż wstrząsnęło.

Cały dzień o niej myślał. O tym, jak po zabandażowaniu mu ręki nagle odeszła. Właściwie uciekła. O lśniących kropelkach w jej oku, wcale nie z powodu pęcherza na dłoni. Coś ją gnębiło, wystarczyło spojrzeć jej w twarz. Najprawdopodobniej przyczyną nie były pocałunki, które nastąpiły przedtem.

Kiedy usłyszała jego głos, poderwała głowę. Granatowe niebo o zmierzchu przydawało wszystkiemu łagodny, ciemniejszy odcień. Z tej samej palety wzięło farby, żeby pomalować twarz Jane. Taką łagodną, słodką, z oczyma pełnymi blasku.

- Nie śpisz? - spytał.

- Chciałabym, ale...
- W takim razie może się przejdziemy?
- Świetnie. Dokąd?
- A tam.

Zaprowadził ją do odległego hangaru, gdzie stał ich samolot. W końcu Hank wśród samolotów czuł się jak w domu, a w hangarze na pewno będzie pusto. Prawie wszyscy zakotwiczyli się w terminalu albo wokół głównych budynków. Przy wejściu do hangaru stało co prawda kilku facetów. Przyszli tu na dymka. Kiedy zobaczyli nadchodzących Hanka i Jane, pomachali do nich i zniknęli.

W środku panował miły chłodek, a także egipskie ciemności. Paliła się tylko lampka nad otwartymi drzwiami do samolotu. W środku samolot był wysprzątany. Drzwi otwarte, w przejściu między fotelami stał odkurzacz i mocno zawiązany worek pełen śmieci. Ale nie było tu żywego ducha.

Weszli do środka. Hank zapalił lampkę koło okna. Nikłe światelko rozproszyło trochę mrok.

- Siądźmy gdzieś tutaj - zaproponował.

Jane zamiast w fotelu, usiadła na podłodze niedaleko otwartych drzwi. Hank rozejrzał się dookoła, sprawdza-

jąc, czy faktycznie są sami, i wyjął z kieszeni dwie małe butelki.

- Szkocka, w każdym razie taką mam nadzieję - powiedział. - Niestety, w tym świetle nie przeczytam. Oby nie była rozcieńczona.

Jane zaśmiała się.

- Dobrze i to!

Wypili po łyku i Hans zdecydował, że opowie Jane o swoich synach. Po prostu chciał, by dowiedziała się czegoś o jego życiu.

- Świetne chłopaki. Bruce w pewnym momencie trochę się pogubił. Zawalił college, ale potem się pozbierał. Wrócił na studia, a teraz ma dobrą pracę. Wtedy po prostu chodził z niewłaściwą dziewczyną, no i działało się to w niekorzystnym czasie. Ale się odmieniło. Właściwa dziewczyna o właściwej porze. Bruce należy do facetów, w życiu których kobieta zajmuje istotne miejsce. Nie lubi być sam, potrzebuje rodzinnego ciepła. Myśli trochę inaczej niż większość młodych ludzi w dzisiejszych czasach, którzy zdecydowanie wolą być beztroskimi singlami.

Teraz zajął się zarabianiem pieniędzy, rozumiesz, dziecko jest już w drodze.



- Lubisz swoją synową?

- Bardziej niż lubię. Wspaniała dziewczyna. Kiedy żona umarła, wspierała mnie razem z moimi synami.

Gdy tak rozmawiali, usiadł obok niej. Oparli się plecami o ścianę, wyciągnęli przed siebie nogi i półleżąc, gadali sobie, popatrując na siebie albo na migoczące gwiazdy widoczne przez otwarte drzwi.

- A drugi syn? - spytała Jane.

- Johnny... - Hank westchnął. - Bardzo przystojny chłopak. Za bardzo. Z tego, co wiem, zdążył złamać już dwa serca, chociaż mogło być ich więcej. Może powinienem nim potrząsnąć, ale tak naprawdę nie bardzo wiem, co mógłbym zrobić. Chłopak taki po prostu jest. Szybko się zakochuje, ale kiedy zaczyna robić się na poważnie, daje nogę.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Jest jeszcze bardzo młody, Hank.

- Wiem, i wcale nie chcę, żeby już zakładał rodzinę, ale martwi mnie ta jego beztroska. Skończył szkołę, przez pół roku włóczył się po Europie, potem wrócił do domu i nie robił nic. Wiem, że powinienem być wobec niego bardziej stanowczy, muszę ci się jednak przyznać,

że lubię go mieć przy sobie.

- Nadal z tobą mieszkać

- Nie. W końcu znalazł pracę. W Boulder, w Colorado. Nie jest to może praca dla dorosłego człowieka, ale przynajmniej w moim młodszym synu wreszcie zapaliła się jakaś mała iskierka odpowiedzialności.

- A ty, jak mówiłeś, mieszkasz w Colorado Springs. Możesz więc go często widywać.

- Zgadza się.

- A jaka ona była, Hank? Twoja żona?

Spojrzał na jej buteleczkę. Popijała bardzo powoli, on też się nie śpieszył z piciem. Zanim jednak zaczął mówić o żonie, wypił łyk.

- Moja żona?- Była taka... nieugięta. Chodzi o wnętrze, oczywiście. A wygląd... Miała włosy ciemnoblonde, nos zawsze spalony od słońca. Uwielbiała być na dworze, byle wymówka i już jej w domu nie było. Wycho-  
wana została na prawdziwą towarzyszkę wojskowego, na kobietę, która zawsze dzielnie trwa u twojego boku.

Nigdy nie ucieka, kiedy pojawi się problem.

- Kochałeś ją.

- Całym sercem - powiedział bez wahania.

- A potem... ktoś był?

- Nie, ale powiem szczerze, że chciałbym kogoś mieć. Niektórzy ludzie tego nie rozumieją. Jak można szukać kobiety po stracie tej, którą się kochało. Naprawdę kochało. Nie rozumieją, że właśnie to jest powodem. Szukam, bo wiem, co to jest dobre małżeństwo. Jak cenna jest miłość. Chciałbym to mieć jeszcze raz.

- Na pewno kiedyś znajdziesz.

- To wcale nie takie łatwe.

- O, nie!

Zaśmiała się. Cichy śmiech był tak samo intymny jak pocałunek, dlatego Hank wolał zmienić temat.

- Teraz twoja kolej, Jane. Jaki był ten twój były?

- Przede wszystkim nieludzko przystojny. Pochodził z naprawdę dobrej rodziny. Był... uroczy. Bardzo aktywny jako ojciec, zawsze z wielkim zapalem zajmował się dziećmi.

- Czyli wzór wszelkich cnót?- Chociaż coś jednak musiało być, skoro nie jesteś już mężatką.

- Owszem, było. Przez pierwsze trzy lata naszego małżeństwa pracowałam, aż dostałam się do bardzo dobrej firmy prawniczej i zaczęłam

przynosić do domu prawdziwe pieniądze. Wtedy rzucił pracę i zaczął je wydawać. Na początku nie przejmowałam się tym. Oboje przecież chcieliśmy, żeby któreś z rodziców było w domu, kiedy dzieci były jeszcze małe. Ale potem... potem zaczął bardzo często wychodzić z domu. Grał, wynajdywał coraz to inne i coraz droższe hobby. Całe dni przesiadywał w klubie. Chociaż dziećmi nadal się zajmował, tak jest zresztą do dziś. Jest bardzo zaangażowanym ojcem.

- Ale...

- Ale nawet przestał udawać, że rozgląda się za pracą. Lubił swoje życie takim, jakie było. Może nie powinno mieć to dla mnie znaczenia. W końcu co za różnica, gdybyśmy oboje byli na stałych posadach? Zwłaszcza jeśli jedno z nas było w stanie zarobić na utrzymanie? I to na całkiem niezłym poziomie. Wmawiałam sobie, że jestem seksistką, skoro uważam, że facet powinien koniecznie mieć jakiś wkład finansowy...

- Może się mylę, ale wydaje mi się, że to nie finanse były u was zasadniczym problemem.

- No nie... - przyznała Jane. - Pieniądze to jednak była sprawa, ale chodziło przede wszystkim o jego styl życia. Cray nie zamierzał go zmienić. Tolerowałam to

przez lata. Dzieci w końcu były szczęśliwe, że mają tatę dla siebie, a my przecież nie walczyliśmy z sobą. Dzieci nie były świadkami awantur... Jednak w którymś momencie dotarło do mnie, że Cray tak naprawdę bardziej chce moich czeków niż mnie samej i że od dłuższego czasu nie jesteśmy prawdziwym małżeństwem.

- Przedtem tego nie zauważyłaś?
- Nie chciałam tego widzieć.

Była bardzo skąpowana. Widać było, że nieczęsto rozmawiała szczerze o swoim małżeństwie. Mówiła jednak dalej, chociaż z trudem, często się zacinając.

- Wolałam myśleć, że mój mąż mnie kocha. Głupie, co? A tu raptem ktoś przestaje cię kochać, i to bez żadnego oczywistego powodu. Uczucie wygasa. Czułam się, jakbym nagle stała się niewidzialna. Za mało ważna, za mało interesująca, żeby darzyć mnie uczuciem. Czułam się jak jakiś mebel, jak rzecz...

Objął Jane i wycisnął na jej ustach długi, gorący pocałunek.

Życie nie oszczędza nikogo. Absolutnie. Tutaj nie ma wyjątków. Każdy z czasem traci zuchwałość charakterystyczną dla młodych.

Bardzo mu się jednak nie podobało, że życie do-

świadczyło Superlaskę. Jako dzieciak była trochę bezmyślna, ale jednocześnie miała tyle zalet. Co najmniej połowę swojej osoby ofiarowywała innym ludziom albo jakiejś sprawie. Nikt nie ma prawa jej wykorzystywać, nawet ten palant, jej mąż. Wykorzystywać jej dobre serce, pokłady energii, nadziei, zapału. Tego wszystkiego, co składało się na jej nadzwyczajną osobowość.

Ten palant uważał, że to wszystko mu się należy. Czyli należałoby go zabić. Dwukrotnie, bo i za to, że przy nim Jane czuła się mniej wartościowa jako kobieta.

Było to usprawiedliwienie dla pierwszego pocałunku. I następnych pięciu. Potem przestał udawać przed samym sobą, że jakieś usprawiedliwienia są tu potrzebne.

- Hej... - mruknęła Jane po jakimś czasie, gdy żółty top z nadrukiem nagle gdzieś już się zawieruszył. Tak samo jak jego koszula i jeden z jej sandałów. I jego buty. - Czy nam naprawdę zebrało się na pieszczoty? W naszym wieku?

- Tak. Zebrało nam się, Jane. Nie wiem, co ty sobie myślisz, ale ja realizuję swoje dawne marzenia; Kiedy wyobrażałem sobie, że szalejesz za mną, że koniecznie chcesz się ze mną przespać... Nie dziw się, chłopaki w tym wieku zawsze robią z siebie idola.

Zaśmiała się i przytuliła się do niego, żeby ich ciała zetknęły się na jeszcze większych płaszczyznach. Było to zaproszenie, o jakim marzył, kiedy miał siedemnaście lat.

A jeśli się nad tym zastanowić głębiej, to marzenie żyło do dziś.

Zawsze też marzył, że dla swojej kobiety będzie dobrym kochankiem, dlatego teraz nie pozostawi Superlance żadnej wątpliwości, czy była pożądana, czy nie. Czy jest kobietą nie? zwykłą, której się zapomina. Czy jest seksowna, czy jest kobietą, którą się dostrzega.

Czy nie.

Zwykła wykładzina na podłodze samolotu była czymś bardzo dalekim od luksusowego materaca. Nie było poduszek, przejście wąskie jak pojedyncze łóżko. Drzwi otwarte, ale w środku duszno. Ciemno. Jednak wszystkie niewygody zdecydowanie działały na ich korzyść. Tak przynajmniej myślał Hank.

Było gorąco. Ale to nie temperatura powietrza była istotna, lecz temperatura ciała Jane. Też wysoka. A ciemności wyostrzały zmysły. Włosy Jane, kiedy przeciągał je między palcami, były nieskończenie jedwabiste. Atlasowa skóra nieskończenie miękka i gładka.

Cichutkie dźwięki, jakie wydawała z siebie Jane, to nie były pojękiwania młodej niedoświadczonej dziewczyny, lecz wezwanie dojrzałej kobiety, która chciała, żeby ją kochał.

- Hank... - mruknęła chwilę później, a dokładniej po dwóch orgazmach.

- Tak...

Właśnie teraz, kiedy absolutnie nie miał do tego głowy, zachciało jej się konwersacji.

- Hank, dlaczego kazałam ci wtedy odejść?

- No właśnie, dlaczego? Lepszego ode mnie chłopaka nie miałś pod ręką.

- Dlaczego nie próbowałeś mnie przekonać, nie walczyłeś o mnie?

- Aha! Czyli w sumie to moja wina?

- Dlaczego wtedy nie kochaliśmy się? Dopiero teraz? Nie miałam okazji przekonać się, jaki jesteś w tym dobry!

- Hej, Superlasko!

Uśmiechnął się i delikatnie zaczesał jej za ucho jeden z niesfornych kosmyków.

- Co, Hank?

- Ty jesteś cudowną kochanką. Piękną, zachwycają-



cą, oszalamiającą. Żadne marzenia nie mogą z tym się równać, chociaż, wierz mi, każdemu siedemnastolatkowi za jego marzenia należy się nagroda Pulitzera.

- No cóż... Pozostaje mi więc tylko dostosować się do tych komplementów. Muszę jednak chwilę odpocząć.

Nie chciał, żeby odpoczywała.

Nie był pewien, czy gotów jest do drugiej rundki, bo od jakiegoś czasu nie testował swojej męskości. Słyszał jednak, jak rówieśnicy narzekali, że w ich wieku jest z tym problem. Może się mylili ?

Albo może to Superlaska potrafiła go zainspirować do takiego stopnia, że osiągnął wyżyny.

Raczej najgłębszą głębię.

Potem wyszeptała:

- Było... świetnie.

- Jasne. Nie spodziewałem się, zważywszy na mój podeszły wiek. Czyli to twoja wina.

- A twoja wina polega na tym, że teraz przez jakiś czas będę chodziła na rozstawionych nogach i z czerwonym tyłkiem otartym na tym dywanie. A twoje wąsy czuję dosłownie w gardle.

- I jeszcze gdzieś.

- Tak, tak! I jeszcze gdzieś, ty łobuzie!

Jane była prawie pewna, że zdrzemnęli się. Raz czy dwa razy. Przynajmniej ona. Za każdym razem, kiedy otwierała oczy, okazywało się, że są w trakcie rozmowy. Takiej sobie zwykłej pogawędki. Hank opowiedział jej, jak wygląda jego dom w Colorado Springs. Ona opisała swój dom w Connecticut. On opowiedział, jak latał na F-16. Ona - jak została współniczką i dostała szpanerski pokój od frontu.

On opowiedział, jak był samotny po śmierci żony. Jak miał dość głupich randek, ale wysiadanie w pustym domu było jeszcze gorsze. Przyznał się, że bardzo długo nie mógł zasnąć w małżeńskim łóżku. Zaczął nawet wieczorem aplikować sobie coś mocniejszego, żeby jakoś się z tym uporać.

Ona opowiedziała mu, jak bardzo była zła po tym rozwodzie. Nie chciała już z nikim być, a jednocześnie nienawidziła samotnych nocy w wielkim łóżu. Wieczorem aplikowała sobie lampkę wina. Nie działało. Dlatego wymyśliła coś innego, czyli łóżko pojedyncze, ale jak dla królowej. Najelegantsza najcieńsza pościel, poduszki w koronkowych powłóczkach...

- Pomogło?
- A skąd! Na szczęście czas podobno leczy rany.

- Jasne. Poza tym przez jakiś czas można побыć samemu.

- Jasne. Tym bardziej że w moim przypadku w małżeństwie czułam się bardziej samotna niż teraz. Bycie singielką ma swoje dobre strony.

- Pewnie. Możesz jeść, co chcesz i kiedy chcesz. Nie sprzątasz po kimś, tylko po sobie.

- Nikt nie chodzi za tobą i nie mówi: „Przepraszam, ale...”. Chociaż... może to zabrzmie głupio, ale czasami brakuje mi kogoś, kto powie: „Przepraszam, ale...”.

- Cholera. Mnie też brak.

Kiedy o świcie odprowadził ją pod drzwi terminalu, nagle uświadomiła sobie coś absolutnie szalonego. Była wykończona, a jednocześnie zachwycona, cała w środku uśmiechnięta. Szczęśliwa w taki łagodny sposób. Szczęśliwa naprawdę.

Kiedy jednak weszła do damskiej toalety i zasunęła zasuwkę w kabinie, w jej oczach zakręciły się łzy. Od razu wielkie jak groch, od razu wymknęły się spod kontroli.

Oparła się o drzwi. Strużki łez zmieniły się w prawdziwy potop. Nie wiedziała, dlaczego płacze, ale było tak, jakby ktoś odkręcił kran, a zakręcić już nie można

było.

Wydawało się, że nigdy już nie przestanie. Nigdy nie złapie oddechu, nigdy nie odzyska panowania nad sobą. Na litość boską, przecież ona naprawdę była szczęśliwa! Nie żałowała ani minuty spędzonej z Hankiem. Ani minuty, ani sekundy. Rozpaczliwie chciała, żeby los choć raz jeszcze w życiu dał jej taką szansę. Znów poczuć się jak tamtego lata, kiedy miała siedemnaście lat. Kiedy wszystko było możliwe, kiedy panowała nad sobą i swoim życiem. Kiedy przyszłość jawiła się jak jedno pasmo nieograniczonych możliwości na bezkresnym horyzoncie.

Może właśnie stąd te łzy. Odkrywanie na nowo. Dzięki temu, że kochała się z Hankiem.

Odkrywanie tego, co znalazła.

I co straciła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jane! Jane! Jesteś tutaj?

Trio podekscytowanych damskich głosów kazało się natychmiast ocknąć. Dwie sekundy potem waliły w drzwi.

- Jane! Wiemy, że jesteś tutaj! Wyjdź już! Powiedzieli, że autobusy przyjadą wcześniej, a Mary Bartholomew zgubiła okulary. A jeden z panów nastąpił na kawałek szkła i...

- Już idę! Już idę!

Szczerze mówiąc, nie nastąpiło to tak szybko. Nie miała nawet czasu się wysikać, a co dopiero wziąć się w garść! Przecież rozkleiła się kompletnie. Na szczęście łazienka była bardzo słabo oświetlona i nikt na pewno nie zauważył zaczerwienionych oczu. Ani drżących rąk.

Wyszła i w jednej chwili wzięła się w garść.

W terminalu, szczerze mówiąc, kompletny chaos pa-

nował od dwóch dni, a teraz przerodził się w prawdziwy Armageddon.

W bitwę ostateczną. W ciągu kilku dni ludzie porzycali swoje rzeczy po całym holu, a teraz każdy chciał skompletować je z powrotem, i to natychmiast. Jakby tego było za mało, zaczął padać deszcz. Żaden przyjemny łagodny deszczyk, tylko od razu ulewa zapowiadająca koniec upałów. Niebo pociemniało, w terminalu też więc pociemniało, co jeszcze bardziej pogorszyło nastroje. Ludzie, którzy dotychczas starali się zachowywać wobec siebie jak najbardziej przyzwoicie, nagle przekształcili się w grupę nadwrażliwców i neurotyków.

- Ależ Jane! Skąd Wilbur ma wiedzieć, gdzie ja jestem?- Co będzie, jeśli nikt po mnie nie przyjedzie?

- Nie rozumiem, Jane. Przecież mój samolot wcale nie odlataje z Indianapolis. Ja nikogo nie znam w Indianapolis.

- Jane! Kapitan powiedział, że Henry i Bud jadą pierwszym autobusem, a ja nie. Dlaczego? Przecież mam chore kolano...

- Jane! Ktoś zabrał moją niebieską kurtkę!
- Jane! Nie mogę zamknąć mojej walizki!
- Jane! Nie mogę znaleźć mojej walizki!

Kiedy zbliżało się południe, do Jane, która klęczała wśród stosów cudzych szortów i skarpetek, podszedł drugi pilot

- Hej, czyżby takie już były twoje obyczaje?- spytał zartobliwie. - Za każdym razem, kiedy ciebie widzę, robisz coś, czego wcale nie musisz robić!

- Każdy robi, co może, prawda?

- Ale to nie znaczy, że musi. Przyszedłem, bo chciałem ci coś powiedzieć. Szkoda, że poznaliśmy się dzięki tornado. Z drugiej strony bardzo się cieszę, że miałem okazję cię poznać.

Zaskoczona miłymi słowami, objęła go serdecznie, uściskała i wróciła do tego, czego teoretycznie nie musiała robić. W jej myślach nadal dominowała jedna osoba. Hank. Miniona noc przylegała do jej świadomości jak poranna rosa do trawy. Zastanawiała się też, skąd ten nagły szloch w toalecie. Na pewno była to reakcja na całą tę szaloną sytuację. Dwa dni bez mydła i wody, o stanie włosów lepiej nie wspominać. Zero makijażu, ubranie jak z wariatkova. Ale jednocześnie... Tak. Była z siebie po prostu dumna. Uczucie nieznanne jej od lat, mimo swoich sukcesów, na które pracowała tak długo i wytrwale. A teraz jest dumna, że udało jej się rozdzielić

dwóch starszych panów skaczących sobie do oczu z powodu głupich skarpet!

Może to właśnie tornado nagle ujawniło tę jej bardziej szaloną stronę?

Kiedy pierwszy autobus z pasażerami odjechał, zaczęła gorączkowo rozglądać się za Hankiem. Ludzi wożono partiami, o różnych porach. Hank na pewno jeszcze tu jest, a ona koniecznie musi z nim porozmawiać.

Powiedziała już kapitanowi, że jej się nie śpieszy. Oczywiście, że bardzo chce stąd wyjechać, jak każdy zresztą, ale ma tydzień urlopu. Niestety, na wyspę Kokomo już nie dotrze.

Prosto stąd leci do domu, do Connecticut. Jednym słowem, spokojnie może poczekać, aż inni, bardziej niecierpliwi, stąd odjadą.

Hank sam do niej przyszedł. Kiedy dochodziło południe, nagle zobaczyła go przed sobą. Stał z dużą torbą w ręku i uśmiechał się.

- Superlasko! Znaleźć ciebie tak samo trudno jak tę igłę w stogu siana!

Wcale nie chciała się żegnać z nim w taki sposób. Wyglądała okropnie, a poza tym tutaj, wśród kłębiącego



się tłum, trudno było sformułować jakieś bardziej istotne słowa. Na dodatek ze zdenerwowania w gardle wyszło jak na Saharze.

Ale, na litość boską, jest przecież dojrzałą osobą, a nie siedemnastolatką!

Wysłuchiwała więc spokojnie, jak Hank wyjaśniał, że ma zamiar ewakuować się stąd jak najprędzej. Samochód już czeka. Potem wygładziła mu kołnierzyk od koszuli, jednocześnie wprost bezwstydnie wpatrując mu się w twarz.

Kodując sobie w pamięci obraz tej przystojnej twarzy z uroczym, łobuzerskim uśmiechem.

- Jeśli myślisz, że kiedykolwiek zapomnę o tym tornadzie, to znaczy, że jesteś szalony.

- Jeśli sądzisz, że kiedykolwiek zapomnę o tobie, jesteś jeszcze bardziej szalona.

Najpierw pocałował ją w policzek. Potem przerzucił kurtkę przez ramię, nachylił się po raz drugi i pocałował w usta. Krótko, ale mocno. Tak bardzo realnie.

Złapała oddech. Przynajmniej próbowała to zrobić. I wydyszała:

- Gdybyś mnie tak pocałował, kiedy mieliśmy po siedemnaście lat, nie wypuściłabym cię z rąk!

- Gdybyś dała mi się pocałować w taki właśnie sposób, kiedy mieliśmy po siedemnaście lat, twój ojciec ganiałby mnie ze strzelbą.

- On był pacyfistą.

- Żaden ojciec nie jest pacyfistą, kiedy chodzi o jego śliczną siedemnastoletnią córkę.

Zdawała sobie sprawę, że ludzie patrzą na nich. Kierowca niecierpliwił się. Już dwukrotnie naciskał na klakson. Nie mogli tak dłużej stać, nie wzbudzając podejrzeń, że flirtują jak para nastolatków.

Hank leciutko dotknął jej ręki. Jeszcze raz spojrzął głęboko w oczy. Wcale nie jak podrywający siedemnastolatek. Jak człowiek dojrzały, któremu naprawdę zależy.

Ale potem odszedł mocnym, zdecydowanym krokiem wojskowego.

Odmaszerował. Z jej życia.

Jane wysiadła z lexusa i natychmiast wiatr rozwiął poły jej zakietu. Ostatni dzień lata. Czulo się to w porywach tego ciepłego wiatru, w szeleście liści...

Szybko pokonała schody i wkroczyła do holu firmy Bentham, James, Lambrect i Whitcomb.

Siedmiocentymetrowe obcasy miarowo stukwały o posadzkę. Jakby stepowała radośnie, bo dokładnie pięć po drugiej podczas konsumowania lunchu udało jej się popchnąć niezły interes wart milion dolarów. Czyżby te obcasy i kostium Elie Tahari okazały się pomocne?

Koło dystrybutora wody stało kilku współników. Uśmiechnęła się do nich, podniosła kciuk, przekazując radosną wiadomość, i znikła w swoim pokoju. Pokoju, który może nie wyglądał jeszcze jak chlew, ale zdecydowanie szedł w tym kierunku. Od powrotu z Kokomo minęło kilka tygodni i od tego czasu ani chwili wytchnienia. Na biurku jak zwykle stosy teczek, koło telefonu łączka z różowych i żółtych karteczek.

Marcia, od trzech tygodni zatrudniona już na stałe, pojawiła się w drzwiach. Czujna, gotowa w każdej chwili do ucieczki.

- Jak poszło? - spytała ostrożnie.

Jane poszperała w torbie i wyjęła butelkę Pinot Noir-San Ventre, rocznik 1997.

- O Boże, o Boże - zaszemrała Marcia. - To... dla mnie ?

- Tak. Oprócz tego w tym tygodniu parę centów więcej. Obie poświęciłyśmy wiele godzin na ten kosz-

mar. Doceniam, co zrobiłaś.

- Ale pani dała mi już podwyżkę.

- To jest taka specjalna premia za to, że ze mną wytrzymujesz. Kogo innego byłoby stać na takie bohaterstwo? - Jane uśmiechnęła się, podchodząc do zawałonego biurka. - Jakieś pilne rozmowy?

RS

- Dzwoniły pani dzieci. Boją się, że jutro pani nie złapią, a jutro przecież pani urodziny. Zadzwonią później.

- Na pewno zadzwonią. Albo może ja zadzwonię, będzie na mój koszt. - Zdjęła żakiet, skopała pantofle z nóg i opadła na fotel. – Moja córka w piątek wraca z Europy. Wyjdę z pracy w południe.

- Na pewno nie może się pani doczekać jej powrotu.

- Nie mogę. Dla mnie będzie to najpiękniejszy prezent urodzinowy.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i nagle zaczęła nucić starą piosenkę. Tytułu nie pamiętała. Jedna z tych starych piosenek o melodii łatwo wpadającej w ucho. Potem trudno się od niej odczepić. Tę piosenkę puszczały w radio, kiedy wracała z restauracji.

- Aruba... Jamaica... Aha, Marcio! Ten telefon z Griff Johnson. Facet dalej wkurzony?

Wyraz twarzy Marcii uległ zmianie. Dalej uśmiechnięta, ale już odrobinę spięta.

- Szczerze mówiąc, ile razy z nim rozmawiam, zawsze taki jest. Tym razem domagał się dodatkowych informacji w kwestii podatkowej.

Jane pokiwała głową.

- Zwykły cham. Dzwoni tu, mądrzy się i wyobraża sobie, że w sekundę uzyska odpowiedź na każde swoje głupie pytanie. Następnym razem połącz go od razu ze mną. Ja z nim pogadam. Na szczęście wkrótce będziemy mieli go z głowy. Jego umowa jest już prawie gotowa.

- Dziękuję... - Marcia nagle potrząsnęła głową i zaśmiała się cicho. - Gdzie podziała się moja szefowa?

- Przepraszam? - rzuciła Jane trochę nieprzytomnie, bo w jej głowie znów rozpanoszyła się ta piosenka. No dalej, ładna mamusko...

- Szefowa jęcza - powiedziała cichutko Marcia. — Wszyscy się zastanawiamy, gdzie się podziała. Co pani z nią zrobiłaś Czy ona wróci? Gdzie pani ukryła ciało ?

Jane roześmiała się bez troski, a chwilę później, po wyjściu Marcii, kiedy zajęła się wykopaliskami, czyli ryciem w teczkach zawałających biurko, uświadomiła sobie, że dalej nuci.

Czyli jej wewnętrzna jęcza naprawdę sobie poszła.

Całą złość zabrała z sobą.

Nic już nie jest takie jak przedtem. Przed tornado, przed koczowaniem w terminalu w Kokomo. Przed zupą na mięsie.

Przed Hankiem.

W piątek po południu pojechała na lotnisko po Angel. Jej najmłodsza latorośl wyszła z samolotu, a wyglądała jak ktoś po bardzo długiej podróży pociągiem. Jasne włosy potargane, senne spojrzenie, ubranie wygniecione. Jane objęła mocno córkę. Chłopcy wyfrunęli już z rodzinnego gniazda, ta pannica wkrótce zrobi to samo.

Podczas pobytu w Europie na pewno nabrała więcej dojrzałości, choć teraz wyglądała jak zmęczony dzieciak.

- Zadowolona, że wróciła do domu? - spytała matka.  
- Było cudownie, mamó, całe lato super, ale nie mogę się doczekać, kiedy w końcu położę się do mojego łóżka, na mojej poduszce. I jestem po prostu wygłodzona, mamó!

- Spodziewałam się tego!

Po drodze nie obyło się bez fast foodu, przede wszystkim frytek. Angel zagroziła, że umrze, jeśli nie zje ich natychmiast. Poza tym buzia jej się nie zamykała. Mówiła non stop. O tym, co widziała, co robiła, jak nie może doczekać się, kiedy znów pójdzie do szkoły, chociaż tak naprawdę to ona szkoły nienawidzi. O tym, jak w Wenecji zaszkodziło jej jedzenie, jak zakochała się w Wiedniu, jakie mordercze upały były w Rzymie...

Kiedy ciągnąc za sobą ciężkie walizki, wchodziły do domu, odezwała się komórka. Jane nacisnęła przycisk, zapalając przy tym światła w holu i w salonie.

Nagle wszystko w niej znieruchomiło. Nogi, ręce, mózg. Także serce.

Kiedy usłyszała ten cudowny, ciepłutki, spokojny baryton.

Kompletnie ją przytknęło, dlatego baryton po? wtórzył:

- Suparlasko, to ty?

- Tak! Ja! - Roześmiała się tak jakoś radośnie, perliście. - Oczywiście, że tak. Przepraszam, zaskoczyłeś mnie. Nie wymieniliśmy się przecież ani adresami, ani numerami telefonów. Mieszkasz tak daleko stąd. I ja...

W drzwiach kuchni ukazała się Angel, oczywiście szalenie zaintrygowana, nigdy przecież nie słyszała, żeby jej matka jąkała się. Nigdy dotąd nie widziała też, żeby matka z telefonem przy uchu sadowiła się na schodach, dokładniej na trzecim stopniu. A policzki matki różowe były jak płatki róży.

Kiedy rozmowa została zakończona, Angel nadal gapiła się na matkę jak na jakieś niebywale interesujące wykopalisko, przypadkiem znalezione w ich ogródku. I



stanowczo zażądała wyjaśnień.

- Mamo! Co tu się działo, kiedy byłam w Europie?!

- Nic, kochanie. A już na pewno nic szczególnie ważnego.

- Kim jest ten facet?

- Kto powiedział, że to dzwonił facet?

- Mamo, nie kręć! Lepiej powiedz, zrobiłaś sobie lifting?- Wyglądasz o wiele młodziej!

- Lifting? Nigdy w życiu.

Angel podeszła bliżej i jeszcze dokładniej zlustrowała jej twarz.

- Mamo! Ty po prostu wyglądasz na... O Boże! Po prostu na szczęśliwą. Nie jesteś ani zmęczona, ani zestresowana. I to jest bardzo niepokojące. Albo powiesz mi, co to za facet, albo zaraz dzwonię do moich braci. Gdzie on mieszkać Czy znajomość z tobą traktuje poważnie? A ty jak?- Kiedy go poznam? Czym się zajmuje? Mamo, ty chyba z nim nie sypiasz?!

Jane wstała i objęła swoją kochaną córkę za szyję. Mocno, takie mini przyduszanie. W ten sposób przeciągnęła swoje ciekawskie dziecko do kuchni. W sumie mogłaby odpowiedzieć na kilka z tych pytań. Ale nie teraz.

Teraz chciała po prostu jeszcze przez kilka chwil nacieszyć się tym cudownym uczuciem.

Cieplutkim jak letni dzień.

To nie Hank zmienił jej życie. Zrobiła to sama, ale on sprawił, że przypomniała sobie, co straciła. I czego jej brak.

Dzięki niemu podjęła ryzyko, którego podświadomie bała się przez bardzo długi czas. Otworzyć się. Pokochać.

Być kochaną.

Za trzy tygodnie Hank będzie tędy przelatywał. Angel będzie w szkole, cały dom do dyspozycji Jane. Zgodziła się na spotkanie. Nie miała zamiaru już robić sobie jakichś nadziei. Za wcześnie. Ale jedno już wiedziała. Marzenia z dawnych lat, z tamtego lata, nie umarły. Stworzyły nowe możliwości.